N. 33. WARSZAWA d. 5 (17) Sierpnia ROKU 187

TYGODNIK MOD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

ZE WSPOMNIEŃ KOBIETY

POWIEŚĆ

ORYGINALNIE NAPISANA

przez

Marję Dekalk.

(Dalszy ciąg.)

Nie broniłam się i w chwilę siedziałam przed elegancką tualetą Dosi, słuchając dźwięcznego szczebiotania mojéj ładnéj kuzynki, która zręcznemi paluszkami zaplatała włosy, wychwalając ich kolor i miękkość, i tłumacząc jak je nosić należy.

Musiałam przyznać, że ma gust wyborny, i z pewną przyjemnością popatrzyłam się na fantazyjnie przystrojoną głowę, nie mogąc zaprzeczyć, że mi tak więcéj do twarzy. Dosia wybiegła na chwilę i powróciła niosąc dwie świeżo rozwinięte róże. Wpięła je w ułożony djadem z warkoczy, pączek opuściła nad uchem i kazała mi uwielbiać własne dzieło.

— Tylko podziwiających brak!—powiedziała.

— Szkoda że nie ma Jarosława—szepnęłam.

— O! ten się nie zna na strojach; nie umiałby ocenić, rzekła Dosia chłodno jakoś.

Nagle klasnęła w ręce!

— Quel bonheur! patrz, patrz. Amilkar jedzie!

I z szybkością niezrównaną zadzwoniła, kazała prosić do salonu niemłodéj już kuzyny, która pełniła obowiązki damy do towarzystwa, poprawiła fałdy mojéj białéj sukni i osłupiałą przemocą pociągnęła do bawialni.

— Wiedz mi droga!—powiedziała cicho, że nieco kokieterji w kobiecie, jest tak koniecznie potrzebną rzeczą, jak cukier do leguminy.

Nie miałam czasu zastanawiać się nadtem zdaniem, bo było to już we drzwiach salonu, i Amilkar spieszył z powitaniem.

Pan Amilkar nie posiadał stosownej do swego wojowniczego imienia powierzchowności. Był wysoki, biały, różowy i nosił starannie uczesaną głowę z pewnem wymuszeniem. Twarz jego na pierwszy rzut oka ładna, traciła na bliższym przeglądzie,—oczy były mgławe, usta niemiły miały wyraz. Zdobiły go tylko zręczne ruchy i swoboda salonowa w ułożeniu. Ubrany był z wyszukaną elegancją, a mówiąc wyrażał się zawsze dobranemi słowy.

— Jakie pan masz wyborne przeczucie!—zawołała zaraz na wstępie Dosia.

— Mógłbym to sobie bardzo rozmaicie wytłumaczyć, odparł z uśmiechem nowo przybyły, podając jéj rękę.

— A najpewniéj niewłaściwie! A najprzód, czy pan nie zostałeś zachwycony—émerveillé, zaraz na pierwsze wejrzenie?... Przyznaj się!..

— Pani, są rzeczy których zaprzeczyć nie podobna, a potwierdzić nie wolno!.. - wyrzekł dyplomatycznie Amilkar.

— O!.. tym razem głośno i wyraźnie musisz wypowiedzić swoje zdanie. Pani Jarosławowa jest dziś piękniejszą niż kiedykolwiek,—a wiesz dla czego? Bo ta fryzura dodająca jéj nowego wdzięku, jest mojem dziełem.

— Jeśli w tem jest cokolwiek zasługi umiejętności pani, to w istocie byłabyś nieporównaną artystką, odrzekł Amilkar ze zwróconem na mnie wejrzeniem swoich mgławych oczu, pod którem mi się słabo robiło.

— Patrz!—krzyknęła Dosia, odmawia mi zasługi i daje do poznania, że nie fryzura ciebie, ale ty ją zdobisz! Ah, niestety! muszę przyznać słuszność. Janina jest tak piękną...

—Ależ, moja Dosiu, przerwałam niechętnie, dajże pokój!—i powstałam chcąc urwać rozmowę, która mnie ciągle mięszała i sprawiała przykrość. Zbliżyłam się do biednej towarzyszki.

Była to istota potulna, cicha, siedząca jak mumja bez ruchu, na którą nikt nie zwracał uwagi. Chciałam z nią mówić, ale okazało się że jest potężnie głucha i nieco idjotka. Litość mię ogarnęła nad jéj smutnym losem.

— Nie przeszkadzaj cioci Anusi w jéj rozmyślaniach nabożnych, i lepiéj zagraj nam duszko moja!—zawołała kuzynka Dosia.

Nie byłam dziś dobrze usposobioną do muzyki, czułam się dziwnie rozstrojoną,—lecz ulegając wezwaniu, usiadłam do fortepianu i grałam długo ulubione Marjanowi i mateczce utwory Szopena. Sięgnęłam myślą do cichych dni dzieciństwa i łez kilka upadło na klawisze. Ukrywając pochylając się, aby podnieść leżący na posadzce kwiatek, ale towarzystwo moje odczuło ten stan mego serca. Dosia niedawno tak głośna i wesoła, zamyśliła się nagle, pogrążona w głębokim fotelu. Amilkar zapomniał swoich wytwornych komplementów i rozmawiał ze mną długo poważnie i zajmująco. Mówiliśmy o literaturze naszej i obcej, o muzyce i malarstwie. Amilkar ślizgał się lekko z przedmiotu na przedmiot, wyrażając swoje zdanie oględnie ale trafnie, i nie powiedział nic takiego—coby mię raził. Późno już było gdy powracałam do domu, rozweselona i swobodniejsza, że znalazłam kogoś z kim nagawędziłam się do woli. Ojciec tak mię w własnych upokorzył oczach, że lżéj mi się zrobiło widząc, że jeszcze coś znaczę i mogę pozyskać małą pochwałę. Była to próżność dziecinna, ale któż od niej zupełnie jest wolnym?...

Jarosław powitał mię jak zwykle, pocałunkiem, ale mnie coś szarpnęło za serce i nastrój wesoły znikł zmrożony chłodem wiejącym z jego twarzy; serdeczne słowa moje i uściski gorące, spędziły chmurkę z jego czoła, i odetchnęłam wolniéj widząc że wszystko powróciło do dawnego trybu.

A jednak od owego zajścia z ojcem, cóś ciężyło nam obojgu, czego nawet nie potrafilibyśmy określić. Pragnęłam się zająć gospodarstwem, lecz napotkałam mnóstwo drobnych a ważnych trudności. Sza-

farka, gdym jej kilka dała rozporządzeń, okazała wielkie niezadowolenie i mrucząc rzuciła gniewnie klucze. Zabolało mię to i nie śmiałam jej już nic powiedzieć. Ogrodnik po całych dniach leżał na słońcu, co naturalnie zupełnie nieprzyczyniało się do utrzymania porządku w ogrodzie. Chciałam mu zrobić delikatną uwagę, ale przerwał mi dowodząc, że powinno mu się dodać dwóch chłopców do pomocy, i wypowiedział melodramatycznie, że nie umiem ocenić jego poświęcenia. Pokojówka i panna bardzo często na wety przyrządzały sobie jajecznicę i powidła ze śmietanką, których to przysmaków były widocznie wielkiemi amatorkami. Niezupełnie mi się to podobało, ale nie mogłam się zdobyć na odwagę powiedzenia im, że co się bierze bez pozwolenia i w sekrecie, bardzo blisko graniczy z kradzieżą. Przykro mi to było, ale nie umiałam się wziąść do rzeczy. Przyzwyczajona do łagodnego obchodzenia się mateczki ze służącemi, pragnęłam ją naśladować, nie wiedząc wszakże, jakich używała sposobów aby utrzymać karność i ład w domu.

Czasem mi przychodziły na myśl słowa Dosi, i starałam się przekonać, że wymagania ojca są niesłuszne, a moje postępowanie zupełnie właściwe. Smuciło mię tylko to, że Jarosław cały dzień zajęty, niewiele ze mną spędzał czasu. Niekiedy zarzut zobojętnienia cisnął mi się na usta, ale odsuwałam tę myśl od siebie i zabawiałam się jak mogłam, książką, robótką i fortepianem.

Pewnego dnia pojechałam z Jarosławem w pole, i cieszyłam się jak dziecko z piękności dnia, wesołych śpiewek żniwiarzy i dobrego humoru mego pana. Jarosław śledził uważnie każde moje poruszenie, a gdy wzruszona opowiadaniem jednéj z kobiet o chorobie i śmierci jéj męża, pochyliłam się do małéj pozostałéj sierotki i rozpłakana obiecałam biedakom swoją pomoc, on się przybliżył, pocałował mię w czoło i szepnął: mój ty aniołku drogi!...

Tegoż dnia wieczór mieliśmy gości;—pani Karolina, jéj mąż, dwóch panów młodych z sąsiedztwa i kuzynka Dosia, przyjechali niespodzianie ale w porę, bo im serdecznie byłam rada. Po herbacie, siedzieliśmy wszyscy w saloniku mimo pięknéj pory, bo chłód wieczorny szkodził pani Karolinie. Zebraliśmy się około stolika zarzuconego dziennikami i rycinami. Rozmowa skierowała się na literaturę współczesną, chwalono jednę ze świeżo wyszłych powieści, jako napisaną z talentem i moralną tendencją..

— Co do mnie, odezwała się Dosia, zarzucam jéj nienaturalność, a nieznajomość psychologji autorowi...

— Jakto? spytało kilka głosów.

— Bohaterka téj powieści jest istotą nie mającą wcale żywotnéj prawdy! Przedstawiona jako młoda, pełna życia i gorących uczuć kobieta, przykuta do boku starego i chorowitego męża, zrzeka się wszelkich rozkoszy, przytłumia głos serca, zwalcza pokusę i pozostaje wierną do śmierci swemu niedołędze, a nawet po skonie jego poświęca się wychowaniu jego dzieci. zapomniawszy całkowicie o sobie! Czy to podobne? zaśmiała się szyderczo Dosia.

— Dlaczego sądzisz pani, taką szlachetność duszy kobiety religijnéj i dobréj jako rzecz nieprawdopodobną? powiedziała pani Karolina; autor nie twierdzi, aby ona wolną była od pokus do złego, przeciwnie, maluje jasno walkę jéj serca z poczuciem obowiązku i godności kobiecéj, wzniosłe uczucie chrześcianki zwycięża i wspiera nową siłą uproszoną u niebios, idzie daléj ze spokojem po smutnéj drodze jaką jéj wyznaczono!

— To być nie może! kobiety takiéj nie ma na świecie! wyrzekła żywo Dosia.

— Więc pani nie wierzysz w siłę moralną chroniącą od upadku?—spytał Jarosław nieco ironicznie.

— Nie!.. wierzę, iż kobieta przez miłość potrafi zejść do ostatniego stopnia zapomnienia siebie i drugich, że miłość ta może zniszczyć wszystkie inne wpływy i władze nad jéj duszą, zerwać wszystkie pęta choćby żelaznéj woli,—ale nie wierzę, aby można zwyciężyć uczucie miłości i omamić serce bajką o konieczności narzuconych praw cnoty i stłumić jęk hymnem poświęcenia i ofiary!.. zawołała Dosia z mocą, jaka raziła przy jéj rumianéj twarzyczce laleczki.

— Więc jako samowładną panię postępków człowieka, uznajesz ślepą namiętność? zapytał Jarosław.

— Po większéj części! Nie ma aniołów i świętych na ziemi!.. tylko wyobraźnia nasza nadaje im aureolę i skrzydełka... Nie ma aniołów na ziemi!.. mówiła Dosia błyskając ząbkami, i topiąc spojrzenie w Jarosławie, który mimowolnie zwrócił się do mnie. Zrozumiałam go i słowa jéj wielką zrobiły mi przykrość, bo zdawały się odbierać to, co przyjęłam niedawno jak słuszną i najmilszą mi pieszczotę. Ujęłam się więc i zaprzeczyłam Dosi.

— Są przecież cnoty wielkie i święte, jest niewinność i czystość w sercach kobiet naszych, odezwałam się z żalem ukrytym.

— Oh! te świetlane stworzenia najpewniéj zostaną najpłochliwszemi z szatanków, tylko patrzyć jak zmienią swą postać!.. powiedziała Dosia, i wyzywające spojrzenia rzuciła Jarosławowi, który nie wiedziałam dla czego, po raz drugi zwrócił na mnie oczy.

Wywiązała się z tego przedmiotu długa i szeroka rozprawa, ale wyłącznie prowadzona przez Dosię i owych dwóch panów, widocznie nieobojętnych na jéj wdzięki.

Ja przysunęłam się do pani Karoliny, i w łagodnych prosto z serca płynących słowach ożywionych miłym dowcipem, szukałam uspokojenia po drażniącéj mowie Dosi. Jarosław z panem L. zaczęli sobie powierzać kłopoty gospodarcze, lecz uważałam, że oczy mojéj kuzynki żartującéj z prześliczną gracją, skrzyżowały się kilka razy błyskawicznem wejrzeniem z oczami mego męża, z wyrazem szyderstwa i namiętności. Jarosław odpłacił zimnym pogardy błyskiem.....

Wyznaję szczerze że dziwnem na to patrzyłam okiem, czułam że pod osłoną zwykłéj rozmowy głębsze znaczenie się kryje, i coraz mniéj biorąc udziału w gawędce, robiłam różne przypuszczenia i rozliczne wyprowadzałam wnioski. Czemu Dosia tak uparcie potępiała cnotę kobiet i dlaczego tak pełne wyrazu rzuca wejrzenia na Jarosława? Zamyśliłam się, smutno mi było pomimo woli; mówiono znów o szczęściu i sposobach pozyskania go, nie wiele zwracałam na słowa wszystkich uwagi, lecz uderzyły mię głośniéj i poważnie powiedziane zdanie pani Karoliny:

— Aby użyć szczęścia, należy go utrwalić, dopomódz mu własnem usposobieniem. Wiele osób wymagają, aby szczęście jakie posiadły zapełniało im wszystkie zakątki serca, i nie dozwoliło tam zagościć żadnéj przykréj myśli.—Jestto błąd wielki.

Szczęście zazwyczaj bywa jednostronne, i tylko własną wolą możemy zagłuszyć lub odrzucić inne niedostatki, a oceniwszy większość naszego szczęścia nad drobne może nieuzasadnione przykrości, możemy cieszyć się niem długo i spokojnie!

Te słowa tak przypadające do mego położenia, zawierały dla mnie wyborną naukę. Umocniona, podniosłam pochylone czoło, i na prędce zrobiłam postanowienie zapomnienia wszystkich małych względów, przeszkadzających do używania całkowitego szczęścia.

Miłe moje wrażenie popsuła mi Dosia, mówiąc dość głośno do jednego z panów:

— Moja natura nie znosi téj delikatnéj siatki pozorów i pruderji. Nie umiem dać nikomu nauki moralnéj, a sama choć może niekiedy jéj potrzebuję, nie lubię przecież słuchać, bo jest ona zwykle tylko czczym dźwiękiem bez prawdy i czucia!

Pani Karolina widocznie zrozumiała przymówkę, lecz bez żadnéj urazy spojrzała się tylko łagodnie, i daléj ciągnęła rozmowę....

Niedługo nasi goście wyjechali, pozostała tylko Dosia. Stała na ganku, oczekując powozu który miał zajechać. Uścisnęła mię czule, nazwała aniołkiem, lecz zwracając się do Jarosława nagle zawołała:

— A jednak, może jeszcze kiedy uznasz słuszność mojego twierdzenia!..

Potem ze śmiechem wskoczyła do powozu. Konie ruszyły,—w milczeniu staliśmy chwilę dość długą. Usiadłam na stopniach kamiennych i wskazałam miejsce Jarosławowi obok mnie.

Wieczór był cichy i ciepły, oparłam głowę na ręku i marzyłam o przeszłości i przyszłości. Różne obrazy przesuwały się na bladéj tarczy księżyca, w którą się bezmyślnie wpatrzyłam. Mateczka, Marjan, uśmiechali się do mnie; osoby z dzisiejszego wieczoru a osobliwie Dosia, rysowały się w méj wyobraźni i wzbudzały rozmaite myśli i uczucia. Przypominałam sobie jéj słowa, zagadkowe spojrzenia i dziwną historję jéj życia.

— O czem myślisz? zagadnął mnie Jarosław.

— Mój drogi! rzekłam w miejsce odpowiedzi, czy nie zechciałbyś mi udzielić trochę szczegółów o Dosi.

— Wszakże ci opowiadała swoją historję!

— Tak! lecz pominęła najważniejszą epokę, w któréj kochała!.. mówiłam powoli, a przecież ona musiała kochać silnie i gorąco. O! tak jest niezawodnie....

— Z czego to wnosisz? spytał Jarosław zapalając cygaro, z którego nieuważnie strącił popiół wraz z ogniem.

— Ja nie wiem, ale tak mi się zdaje. Dziś jeszcze cóś dziwnego drży w jéj głosie i płonie w oczach, gdy mówi o miłości. Czy uważałeś dzisiejszą rozprawę i słyszałeś jéj zdania?

— Zdanie bez zasady i powagi jakiejkolwiek!

— Ale wypowiedziane z namiętnem uniesieniem, dokończyłam żywo. Nie! ja się nie mylę! kuzynka Dosia kochała, a może i kocha jeszcze kogoś, ale kogo?.. Ty, znając ją i jéj stosunki, powinieneś wiedzieć o tem, i powiedzieć mi! rzekłam śmiejąc się i biorąc jego rękę.

— Szczególne żądanie! wyrzekł chłodno, cofając rękę z mego ujęcia.

— Ale go zaspokoisz?

— Zkąd mniemanie, że ja wiem o tajemnicach serca Dosi?

— To prawda! zawołałam, zabawna myśl mi przyszła do głowy, ciebie o to badać! Ale wyście się razem prawie chowali, więc sądziłam....

— Bardzo mało widywałem Dosię, byłem prawie ciągle w szkołach.

— A wakacje, święta?

— Tak! wtedy byliśmy razem, nawet cztery lata temu, prawie całe dwa miesiące u nich spędziłem. Rodzice moi byli u wód, nie miałem co robić w domu, siedziałem więc ciągle w Drzewnéj, gdzie zawsze było wesoło i gwarno.

— Było to w tym roku kiedy mąż jéj umarł? spytałam.

— Tak! ale to już po moim wyjeździe! wyrzekł Jarosław i zamilkł, gryząc cygaro.

— Musiała być śliczną? spytałam znowu.

— Nie zmieniła się wcale.

— Wyobrażam sobie, że ten którego ukochała, odpłacał jej pewno najwyższą wzajemnością.

— A jeśli to był człowiek, który pamiętał o tem, że ona jest mężatką, a miłość taka jest występkiem?

— Ah! mój najmilszy! to byłby bardzo szlachetnym, ale cierpienia jego i walka nie wiem czy byłaby wytrzymaną i zwyciężoną!

— Jakież dziwne zdanie, Janko! powiedział Jarosław niechętnie.

— Widzisz, mój drogi, ja sądzę po sobie. Gdy usłyszałam że chcesz się żenić, czułam że powinnością moją jest nakazać ciszę i obojętność serca, a jednak usiłowania były nadaremne, i poznałam, że nigdy żadne rozumowanie nie zdoła zatrzeć, zgładzić tę miłość, która bezwiednie zawładnęła moją istotą... Życie moje byłoby okropne... każda godzina nową dorzucałaby męczarnię... jabym zazdrościła twych spojrzeń, twéj obecności, wyobraźnia moja towarzyszyłaby ci bezustannie i wzbudzała coraz wzmagający się ból, rozpacznie szarpiący serce i duszę, rwącą się ku tobie, oddaną ci, związaną z tobą niewidzialną dłonią!...

Po raz pierwszy mówiłam mu tak wyraźnie o méj miłości... Wzruszona, płonąca rumieńcem, który oblał mię łuną gorąca, przestałam mówić, czekając mimowoli odpowiedzi w tkliwym uścisku wyszeptanéj. Pochyliłam głowę: chwilę panowało najgłębsze milczenie. Podniosłam oczy zmieszana... Jarosław zamyślony głęboko, siedział oparty o filar kamienny, może nie słyszał nawet co mówiłam. Przyłożyłam rękę do serca, w którem mię coś zabolało.... nie widział tego ruchu i rzekł widocznie do siebie:

— Takąż więc jest miłość kobiety? Czy każda czuje to samo?

— A wy—wy tego nie rozumiecie! szepnęłam przez łzy co mi się gwałtem cisnęły do oczu.

Jarosław wstrząsnął się i obejrzał z dziwnym wyrazem. Spojrzenie jego padło na mnie i nagle zmienił go na pełne czułości i przywiązania.

— Janko!... zawołał cicho i zaczął całować moje usta i oczy, z niewykłą mu gwałtownością powtarzając słowo „kocham“ jakby mię chciał za poprzednią przykrość przeprosić.

— Nie!—ty, ty jedna tylko potrafisz tak kochać!.. wyrzekł biorąc mię na ręce i unosząc z ganku.

Trochę przelękła, drżąca, oparłam głowę na jego ramieniu i rzekłam cicho:

— Taką jak moja miłość, musi być każda co jest prawdziwą!..

Jarosław zamknął moje usta gorącym pocałunkiem; nie pytałam o przyczynę tego przerwania mych słów, nadto czułam się szczęśliwą że rozmowa taki wzięła obrót.

Jednak chwile mego szczęścia zawsze trwały dość krótko. Nazajutrz zbudziwszy się, pierwszem wejrzeniem ze snu otworzonych oczu, czekałam Jarosława, aby mu słodkie przesłać dzień dobry. Ale już dawno pojechał w pole, do żniwa, jak mię objaśniła pokojówka. Blask słońca zatarł więc wspomnienie wczorajszego wieczoru, uprzytomniając tylko zyski i zbiory. Mimowoli oskarżenie o zimnotę stanęło na myśli. Wzdychając jadłam podane śniadanie, które mi wcale niesmakowało.

— Mój Boże! mówiłam sobie smutno, jak on mógł odjechać bez pożegnania? Jabym wszystko poświęciła, wszystkie stroje, kosztowności, dla jego uścisku świadczącego o miłości głębokiéj, a on bez żadnéj konieczności rzuca mię obojętnie, ani myśląc o przykrości jaką mi sprawi. Rachuba przedewszystkiem, a resztę uczuć tylko chwilową dla niego zabawką: „eliksirem po mięsnym obiedzie“ rzekłaby Dosia w podobnym przypadku, zwykła wszystko do prozy chłodnéj przyrównywać. Ale ja nie umiałam tak śmiać się ciągle jak ona, i zasępiona odsunęłam niedokończoną szklankę herbaty. Bez słów serdecznych, bez ciągłéj obecności istot ukochanych, nie mogłam żyć i oddychać swobodnie. Było mi straszno i dreszcz mię przenikał. Mateczka i Marjan nigdy by tak nie zostawili swego ptaszka złotego, przyzwyczaili mię do nieustannéj pieszczoty i wzajemnéj tkliwéj opieki. Byłam jeszcze nieco dziecinną, oni robili mię jeszcze więcéj dzieckiem, dlatego właśnie, aby ten miły stosunek nie ustawał. Jarosław to widział i zdawał się być zachwycony, uwielbiał mateczkę i jej anielski charakter, sam ulegał jej łagodnemu wpływowi, a mimo to zupełnie inaczéj ze mną postępował!..

Poszłam do swego pokoju, wyjęłam listy mateczki i brata, razem światłe i miłe, i rozpłakałam się czytając je, lubo wstydziłam się łez moich i trwożliwie spoglądałam ku drzwiom, z obawy aby mię Jarosław nie zastał zapłakaną. Mógłby wtedy wiele przypuścić, a nakoniec, wiedziałam że nie lubił wszystkich wybuchów, które go męczyły i niecierpliwiły.

W południe—znużony, zakurzony, zjawił się pan mój, z bukietem polnych kwiatów, które mi ofiarował z galanterją. Dziękując mu zrobiłam uwagę, że dziwi mię pamięć o kwiatach dla żony, wśród pszenicy i pilnowania robotników. Złośliwy jakiś demonik podszepnął mi tę małą zemstę, Jarosław zmarszczył czoło i rzekł krótko:

— Nie sądziłem, abyś jeszcze była takiem dzieckiem!

— Co chcesz powiedzieć?—spytałam nie bez obrazy....

— Że powinnabyś wiedzieć wartość i wzniosłe znaczenie pracy, i zamiast brzydkiego grymasu i wymówki, okazać jeżeli już nie chęć towarzyszenia mi na téj drodze, to przynajmniej uznania jéj.

— Czemu mi nie wskażesz téj drogi, czemu nie określisz jasno twoich wymagań? mówiłam z bólem tajonym, bo przypomniałam niedawno wygłoszone zdanie ojca, najzimniejszego z egoistów według méj wyobraźni.

— Ależ ja nic nie wymagam od ciebie!.. postępuj jak chcesz, zawołał Jarosław, ale bądź sprawiedliwą i zastanów się dobrze, nim zrobisz przykry wyrzut nie mający żadnej słuszności!

— Ty nie pojmujesz jak mnie tęskno bez ciebie, odparłam wyciągając doń ręce i tłumiąc wszystkie skargi i niechęci w najgłębszym zakątku serca.

Jarosław popatrzył na mnie uważnie, i całując moje czoło rzekł powoli:

— Biedny aniołku! chcemy z ciebie gwałtem zrobić kobietę!.. może błądzimy, ale wybacz i bądź zawsze takim aniołem.

— Więc ja nie jestem jeszcze kobietą? Dlaczego? zapytałam ze zdziwieniem. To źle, ja chcę być nią, wszak jestem żoną człowieka! I....i ty byłbyś więcej ze mnie zadowolony gdybym była inną. Ale jak cię kocham, to nie moja wina! Ja nie wiem, nie rozumiem czego wy chcecie odemnie? dodałam uśmiechając się, ale przez łzy cisnące się gwałtem do oczów.

— Powtarzałem ci Janiuo, że nie przepisuję ci żadnych praw, nie chcę nic wcale. Obowiązki twoje są nieokreślone, każda kobieta je czuje mniej więcej według swego usposobienia. Nie potrafiłbym ci nawet wypowiedzieć moich pragnień, wiem że często może niewypełniasz ich, ale sądzę że na świecie nie znalazłby nikt czystszego i szlachetniejszego serca nad twoje.

Powinienem być przygotowany, że taki złoty ptaszek nie złoży odrazu swych skrzydeł na ofiarę rzeczywistości, mówił Jarosław poważnie, chłodno, nielitośnie.

— Ah! więc kobieta poszedłszy za mąż, ma zmienić całkiem swą naturę, zapomnieć wszystkiego co piękne i wzniosłe, stać się poważną matroną, klucznicą? zawołałam przykro wzburzona.

— Janko! nie rozumiemy się! Nikt nie chce, aby kobieta zapominała o pięknie, poezji i uczuciu. Przeciwnie, więcéj dla okazania tych przymiotów ma pola, niż gdy jest panną: ale łagodna równowaga we wszystkiem jest nieodwołalnie dla każdego potrzebną, a w spokoju i umiarkowaniu znajdują się podstawy trwałego szczęścia! Ale raz jeszcze dodaję, że bynajmniéj od ciebie nie żądam żadnéj zmiany w postępowaniu!.. Ja cię kocham nad życie i uwielbiam mego aniołka nawet wtedy, gdy mię zmęczy kaprysikami. Niech wszystko tak pozostanie jak było dotąd!..

Z początku mówił żywo i surowo, potem tkliwiéj i zakończył pocałunkiem w same usta. Zamilkłam, ale smutno mi było słyszeć, gdy przy podanym zaraz obiedzie rzekł do mnie razy kilka: „Moje drogie cacko.“

— Jestem więc dla niego lalką, cackiem, myślałam sobie smutno; nie dziw, że często porzuca mię nieuważnie. Nie umiem go zadowolnić, a jednak nie czuję się winną!

(d. c. n.)

MOJA WIARA.

Dziś ją widziałem: blade miała lica,
Nakształt promienia bladego księżyca,
Gdy na szafiru czystym oceanie
W jasnéj mgły kole smętny, uroczysty,
Płynie powoli, cicho, jednostajnie,
Lejąc zdrój światła bladawy, srebrzysty;
Światło z błękitem zlewa się w przestrzeni,
A tam, daleko świt niebo rumieni..

Dziś ją widziałem. Wiosna romarzona,
Wieszczka z krainy cudownéj natchniona;
Czegoś się śmiała i czegoś płakała,
Ogniem nieziemskim jej oko pałało,
Wzrok promienisty gdy do mnie posłała,
Dusza zadrżała i serce zadrżało:
Piękność niebianki w nim słońcem świeciła,—
O, jakże wzniosłą, tajemniczą była!

Dziś ją widziałem. Znam te cudne dziecię,
Znam perłę czystą, woń siejące kwiecie
Z wianka królowéj Najczystszéj Dziewicy,
Przeszło dni wiele i wiele miesięcy.
Kocham ją. Świadkiem anioł jasnolicy,
Na ziemi żadnéj nie uwielbię więcéj.
Kocham powiewną, wieszczą świteziankę,
Ale oh! jeszcze mam inną kochankę.

Z jutrzenką życia błysła mi na świecie
Ona—pierwiosnków marzeń moich dziecię;
U méj kolebki dobra matka stała,
Piosnkę nuciła—struny uczuć drżały—
Najświętszą miłość w me serce wlewała:
Kochaj do grobu! luli, synku mały..
Kochaj! to słowo w bryzgi się rozbiło,
Ciała i duszy istność napełniło;

Znasz tę kochankę: zwą ją Poświęceniem,
Potęgą duszy, co dziwnym promieniem
Już od powicia w głąb tajemną wlana
Zdrojem źródlanym najczystszéj miłości,
Która ognista, wielka, nieskalana,
Świeci się blaskiem ogromu całości
W Bóstwie tworzącem, wielkiem, niepoczętem,
W życiu z przedwieków trzykroć świętem, świętem!

Dla téj kochanki na ołtarz ofiary
Niosę sny złote, ułudy i czary,
Żegnam rodzinę, zagrodę ojczystą,
Ciebie Aniele, o kochanko druga!...
Cudne widzenie... z pod zasłony mglisto
Wije się wstęga, przyszłych zdarzeń smuga:
Kwiaty nauka w owoce zamienia,
Owoc dojrzewa z życia poświęcenia...

Więc daléj naprzód! Świat długi, szeroki,
Naprzód! a znajdę zdrój z wiedzy opoki,
Nektar pić będę. Koloru nadziei
Gdy laur uwieńczy czoło spracowane,
Wówczas, o! wówczas szczęśliwy, z koleji
Na powołania świetnéj drodze stanę
I, będąc godnym wybranéj—dziewicy,
Szepnę: o! wiedź mię Stróżu jasnolicy!

Wiedź! Gdy ją ujrzę, dźwięk głosu popieszczę,
Zachwyt owionie, sny spełnią się wieszcze.
Podam dłoń mężną, szepcząc: o, Aniele!
Idźmy dziś razem, nie w pyszne pałace—
Drogą *idei* wytrwale a śmiele;
Daję ci *miłość* mą czystą i *pracę*,
Daję ci serce wiernie dochowane,
Chodźmy! niech błysną dnie *szczęściem* świetlane.

F. M. Ejsmont.

TRICOTRIN

PRZEZ

OUIDA

STUDJUM Z LITERATURY ANGIELSKIEJ

PRZEZ

Walerją Marrené.

(Dalszy ciąg.)

Viva milczała przez chwilę, miała łzy w oczach i głosie, duma nie pozwalała pokazać jak gorzkim wydawał jéj się ten zawód. Sądziła, że świat wreszcie otwiera się przed nią na oścież, wszystkie sny i marzenia dziecinne były tak blizkie sprawdzenia, i już, już miała wejść w tę tajemniczą krainę czarów. A on zakrywał ją przed nią, on zabraniał jéj tam wstępu,—był to cios ciężki.

Tricotrin spoglądał na nią w milczeniu, aż podniosła wzrok i spotkała oczy jego. Spojrzenie to zbudziło lepsze instynkta jéj natury, zarzuciła mu ręce na szyję z gwałtownym wybuchem wdzięczności, z żalem za chwilę wahania.

— Ty wszystko możesz żądać odemnie, zawołała, dałabym ci życie bo masz do niego prawo. Nie dbam o Paryż, ani o brylanty, jeśli sądzisz że lepiéj mi tutaj.

Tricotrin przycisnął ją do piersi, jak to zwykł był czynić od dzieciństwa; a twarz jego ożywiła się promieniem radości, on cieszył się jéj zaufaniem, jak gdyby nie zasłużył na nie.

— Dziękuję ci, Vivo moja, wyrzekł drżącym od wzruszenia głosem, postąpiłaś szlachetnie i odważnie, dałaś mi dar największy na świecie—wiarę. Kiedyś—kiedyś *zrozumiesz* żem miałem słuszność, a tym czasem nie chcę byś na tém traciła.

Tricotrin postępuje zawsze z wychowanką swoją jak z dzieckiem, trzyma ją w puchu nieświadomości, zapominając, że cnota więcéj warta niż niewinność, że kto nie zna niebezpieczeństwa bronić się nie może, a niebezpieczeństwem dla istoty takiéj jak Viva jest wszystko co ją otacza. Autor jednak nie zdaje się tego domyślać, on nie dostrzega innego wyjścia z położenia, nad ciągłe czuwanie Tricotrina. Obrona ta jest zbyt słabą. bronić skutecznie mogłaby ją jedna miłość—ale téj wychowanka nie czuje dla swojego mistrza, on jest dla niéj najlepszym opiekunem, towarzyszem, przyjacielem, wszystkiem na świecie, ale nie kochankiem. I nie dziw, nie tylko różnica lat leży pomiędzy niemi, ale większa stokroć różnica pojęć, inteligencji. Viva jest dzieckiem w całem znaczeniu tego wyrazu, a on stara się przedłużyć to dzieciństwo w nieskończoność, oddalając od niéj pojęcie nawet złego. Tak postawione położenie jest bez wyjścia, i nie można skarżyć się na to, bo zawdzięczamy mu całe rozwinięcie prześlicznéj powieści. O słuszność zasad wolno sprzeczać się z autorem, ale raz przyjąwszy je, konsekwencje po mistrzowsku są opisane.

Obietnicę uczynioną swojéj wychowance Tricotrin spełnić musi, obiecał ją zaprowadzić do Paryża i dotrzymuje słowa z bólem serca i z trwogą tajemną, bo jeśli dziewczyna miała dla niego dziecinną miłość, jego uczucia zmieniły się powoli. Od chwili, gdy inny spojrzał na Vivę jak na kobietę, on także pokochał ją jak serce jego kochać było zdolne. Tu znowu nasuwa się pytanie, czy ta miłość prawdopodobna. I tu znajdujemy wielką próżnię w życiu Tricotrina, człowiek jemu podobny kochać musiał, kochać szalenie, zbyt to bogata organizacja by brakło jéj chwili słonecznego rozkwitu, ale z przeszłości jego w tym względzie autor nie powiedział nam nic... nic nie napomknął nawet. Czy doznał jakich strat i zawodów? czém zapełnił wrzące lata młodości? pytanie to gwałtem nasuwa się myśli—i zostaje bez odpowiedzi.

Viva jest cudownie piękną, to jednak nie wystarcza jeszcze by wytłómaczyć miłość jéj opiekuna. Prócz piękności jest ona szczerą, dumną, gwałtowną, żadna skaza nie dotknęła jéj serca. Tricotrin zdaje się strzedz ją więcéj jeszcze jak kochankę, niż córkę; jest coś głęboko niekonsekwentnego w sposobie jakim ją wychowuje, oddalając od niéj wszystkie prawdy życia. Wypadek łatwym był do przewidzenia; w Paryżu wszystkie na raz pokusy otaczają śliczną ubogą dziewczynę, bogactwo, użycie, ukazuje jéj się pod wszystkiemi postaciami—piękna kurtyzanka Coriolis namawia ją by weszła na scenę, młody Lord Chamatlon zastawia na nią swoje sidła, wielki Pan książe de Lira ofiaruje więcéj nierównie, on samotny, stary, schorowany, chce dać Vivie położenie towarzyskie, matka jego weźmie ją pod swoją opiekę, wprowadzi w świat jako równą sobie.

Tricotrin zna księcia oddawna, wie że na jego słowie i honorze polegać może, przecież oburza się na samą myśl odstąpienia wychowanki, która stała mu się drogą nad świat cały czuje, że ma do niéj prawo miłości, że kocha ją jak nikt w życiu kochać ją nie będzie. Przecież jest to zbyt szlachetna natura by mógł nadużyć swego położenia, on nie chce niewolnéj miłości, dzieckiem jeszcze miał w klatce ukochanego ptaka, a widząc że tłukł się o kraty i chciał ją porzucić, płacząc otworzył mu drzwiczki i napróżno potem rok cały zostawiał je otwarte, czekając powrotu ptaka; on nie powrócił nigdy. To samo dzieje się z Vivą.

Z początku widząc, że nigdy z nim szczęśliwą nie jest, wiecznie pragnie tego czego dać jéj nie może, pozwala na tygodniowe odwiedziny w domu księcia, przyniewala go do tego nierozważny krok Vivy, która wbrew uczynionéj mu obietnicy, daje się uwieść przez Coriolis. Tricotrin odbiera ją za nim zrozumiała gdzie jest, do czego ją wiodą, ale pojął także iż długo nie zatrzyma ją w swoich rękach taką, jaką jest, znał ludzi i świat, znał Vivę, nie łudził się nadzieją, a jednak kto wie czy nie pomyślał, że ona zatęschni za nim wśród świetności, że wspomni tę nieograniczoną miłość, co czuwała nad nią od kolebki, oddalała każdą troskę, uczyniła wiek dziecinny szczęśliwym i odsuwała teraz trudności życia.

Tricotrin oznajmia jéj w krótkich słowach, że księżna de Lira bierze ją do siebie na czas jakiś.

— A co powie na to matka Róża, pyta Viva.

— Ona, odpowiada z tłumnioną goryczą Tricotrin, żyje za nadto długo by spodziewać się wdzięczności i pamięci; ty Vivo chcesz wielkości i bogactw, idź tam gdzie ci je ofiarują.

— Wszak to są wielcy Panowie, spytała, zwracając myśl do nowych opiekunów.

— Tak, są z wysokiego stanu, czy to chcesz powiedzieć? Wielcy ludzie żyją nieraz w poddaszach, kończą czasem w szpitalach, w więzieniach nawet. Ale w twojem znaczeniu, wielkość znaczy tylko bogactwo.

Zwróciła wreszcie uwagę na niezwykłą gorycz jego mowy.

— Ty nie chcesz bym ja tam była, spytała zamyślona; powiedz mi otwarcie, ja nie będę więcéj nieposłuszną.

— Nieposłuszną, zawoła gwałtownie, bo gwałtownym bólem przeszywała go ta scena, albo ja jestem twoim panem? Gdybyś mnie kochała, czyż mówiłabyś o posłuszeństwie. W miłości dwoje ludzi tchnie jedną myślą i jedną wolą, jak para skrzydeł ptasich, każde z osobna a zawsze razem—ale takiéj miłości nie ma pomiędzy nami. Skrzydła twoje do ciebie należą, niech cię niosą wedle życzeń. Bądź wolna jak powietrze.

— Ale ty tego nie pragniesz? ja to chcę wiedzieć.

— Tu nie chodzi o moje, tylko o twoje pragnienie. Ty żądasz bogactwa, stanowiska, zbytku, zobaczysz je z bliska. I to coś znaczy—może też stracą swój powab—a wtedy?

Nie dokończył zaczętéj myśli, nie mógł wypowiedzieć nadziei, która powstawała mu w sercu.

— Wtedy co? spytała niespokojnie.

— Nic, nie zważaj—otwiera ci się sposobność, trzeba z niéj skorzystać, za ośm dni powrócę po ciebie.

Viva była niezdecydowana, było w jego słowach tak łagodnych przecież coś urywanego, chłodnego, co budziło w niéj obawę i rzucało cień na jej radość.

— A jak ja tam będę nieszczęśliwą, wyrzekła trwożnie.

— W jednéj chwili, twarz jego rozjaśniła się znanym uśmiechem, pełnym promiennéj miłości.

— Wówczas, wiesz gdzie znaleźć schronienie, powracaj do mnie, gdy będziesz cierpieć, jeśli zapomnisz mnie wśród radości.

Pierwszy raz uderzyło ją to wielkie uczucie którem on ją darzył, nie nie żądając w zamian poczucie, że go nie była godną. Przecież nie mogła ocenić dobrze całą jego wielkość, jak nieprzy ykłe oko nie potrafi ocenić miary właściwéj gór.

Patrzyła na niego przez chwilę i dawny dziecinnym obyczajem, rzuciła się w jego objęcia.

— Ale za tydzień, wyrzekła, ja powrócę do ciebie.

Uśmiechnął się, a uśmiech ten przejął jéj serce wyrzutem, chociaż nie umiała powiedzieć czemu.

— Tydzień. to czasem wiek cały w twoich latach. Ja nie mogę przypuścić, byś powróciła mi—taką jaką jesteś. Ale musimy się na to odważyć. Miłość która nie wytrzyma próby nie jest miłością, a ptak co nigdy nie spróbował lotu, kocha swoją klatkę z przywyknienia nie z wyboru.

Nie mylił się Tricotrin w smutnych przypuszczeniach; gdy w ośm dni przyszedł po Vivę, zastał tylko bilecik w którym prosiła go o pozwolenie trzymiesięcznego poby tu.

W ostatni dzień ostatniego miesiąca, Tricotrin zjawia się znowu;—był to smutny dzień jesienny, zimę czuć się dawało w powietrzu, a źdźbło trawy podnosiły w górę wierzchołki białe od mrozu; zostawił tu Vivę wśród kwitnącego lata, czyż ten krótki przeciąg czasu wystarczyłby zmrozić zarówno gorące serce dziewczyny.

Tricotrin wszedł do ogrodu otaczającego letnią villę pod Paryżem, zajmowaną przez księcia de Lira, i zbliżył się do pałacu; była to szara godzina, wielkie parapetowe okna, jaśniały rzędem, oświecone wesołym blaskiem ognia i lamp płonących, instynktownie zatrzymał się przed jednem z nich.

Tam w całym świetle ogniska odbitym w lustrach rozwieszonych na ścianach, w śród różowéj łuny rzuconéj przez adamaszkowe firanki,—stała ona. Serce biło mu gwałtownie tęsknotą, trwogą, nadzieją i rozpaczą.

Stała przy kominku, z głową wzniesioną i śmiała się poruszając rękoma złotego Arlekina, który misternie za każdem pociągnięciem zmieniał barwy i kształty. Twarz jéj promieniała radością, bogata suknia obciskała wysmukłą kibić, i długim ogonem wlokła się po ziemi, a włosy ułożone na dawny sposób, spięte były złotą strzałą na wpół ukrytą w ich bogatych splotach. Bogactwo i wysokie stanowisko społeczne, położyły na niéj znamię swoje, wyglądała już nie na dziecko ale na prześliczną kobietę.

Po cóż miał tam wchodzić, to spojrzenie jedno starczyło mu za odpowiedź.

Czyż ptak ze słonecznego nieba powrócił mu do klatki? czyż dziewczyna porzuciłaby dla niego ten raj bogactwa i użycia.

Serce jego bić przestało, nadzieje skonały, gdy spoglądał na nią. W tej promiennéj twarzy nie było śladu tęsknoty, w śmiechu tych ust nie było wspomnienia żadnego. On stracił ją na zawsze. Nie mógł o tem wątpić, tak jak gdyby widział ją umarłą, leżącą w trumnie.

Powoli, rzuciwszy na nią raz jeszcze długie spojrzenie, odwrócił się i poszedł, szukając schronienia w zimnych wilgotnych głębiach lasu—a ona niepamiętna na nic, nie domyślając się tego, śmiała się w blaskach ognia, bawiąc swoim arlekinem, który mienił się i błyszczał drogiemi kamieniami.

Przecież za parę godzin Tricotrin powrócił i zażądał widzieć księcia de Lira.

— Ja dotrzymałem słowa, wyrzekł: teraz ty książe dotrzymaj swego, muszę zobaczyć Vivę, prawa moje nad nią nie ustały jeszcze.

(d. c. n.)

Przegląd literacki

Ciała niebieskie czyli światy planetarne i gwiazdowe. Wykład popularny wielkich odkryć i teorji najnowszéj astronomii, przez O. M. Mitchell'a, autora „Popular Astronomy" tłomaczył z angielskiego *Apolinary Pietkiewicz*, autor Meteorologii. Z drzeworytami i *dodatkiem* tłomacza. Warszawa, Skład główny u Gebethnera i Wolfa. 1872 r. Stron. 403 oraz dwie karty przedstawiające plan nieba i piętnaście litografii we środku książki, in 8°.

Ze wszystkich owoców wiedzy ludzkiéj, żaden nie pokrzepia tak i nie uszlachetnia ducha naszego, jak Astronomia, czyli nauka o światach krążących wraz z naszym światem w nieskończonem przestworzu. Nauka o ciałach niebieskich ma jeszcze to do siebie, iż będąc czysto objektywną, nie budzi żadnych subjektywnych myśli, nie rozpłomienia wyobraźni fantastycznemi marzeniami, ale zmusza rozum do rozważania, wnioskowania i kombinowania praw fizycznych już zdobytych.

Inaczéj spogląda na gwiazdziste niebo nieuk, a inaczéj człowiek mający choć ogólne wyobrażenie o świecie: pierwszy śledzi tylko na błękitnem tle świecące większe lub mniejsze punkciki, gdy drugi, wie czem one są względem ziemi, zna ich odległość od niéj i pojmuje prawa stałe i niezmienne, któremi się rządzą wszystkie te światy;—pierwszy spuszcza obojętnie oczy na dół, lub na chwilkę się rozmarzy, drugi rozumuje, podziwia i uwielbia Mądrość przedwieczną, któréj tajemnice wolno mu odsłaniać, jemu, co jest prochem, atomem, chwilkę żyjącym w nieskończoności czasu i przestrzeni.

Po wszystkie też czasy astronomia ulubionym była przedmiotem zajęcia ludzi wyższych zdolności, i wszędzie wraz z cywilizacyą znaczne robiła postępy.

Na nieśmiertelną chwałę narodu naszego, wśród nas urodził się, wykształcił się i zajaśniał swym geniuszem największy i najsławniejszy astronom.... Mikołaj Kopernik, którego czterechsetną rocznicę urodzin w roku przyszłym, wraz z zapierającymi go nam Niemcami obchodzić będziemy.

Wiadomości dotyczące ciał niebieskich, jak w ogóle nauki przyrodzone i matematyczne, nie są u nas obecnie tak rozpowszechnione, jakby na to zasługiwały i jak tego nam potrzeba, chociaż z drugiéj strony uważając rzeczy, nie można powiedzieć, aby nam zbywało na książkach popularyzujących te nauki. W ostatnich mianowicie czasach ukazała się dość znaczna liczba książek dostępnie rzecz traktujących. Z elementarnych dziełek o astronomii mogą korzystać i kobiety, jeśli nabędą przedwstępnych wiadomości z matematyki, która jak dotąd nie wchodzi do ich programu naukowego.

Liczbę dzieł tego rodzaju zwiększyła praca pana Apolinarego Pietkiewicza, autora wysoko cenionéj w świecie naukowym Meteorologii.

Jest to dziesięć prelekcyi amerykańskiego astronoma, mianych w Cincinnati (Stany Zjed. Pół. Ameryki), a treścią ich: *budowa wszechświata o tyle, o ile ją zbadał rozum ludzki.* Prelekcye te napisane jasno, przystępnie i obrazowo, przełożone na wszystkie prawie europejskie języki, przyswoił nam pan Pietkiewicz, uzupełniając dodatkami to, co było albo nie dość jasnem dla polskiego czytelnika, albo też pominiętem przez autora.

Książka ta, biorąc rzeczy względnie, ułożona dość systematycznie i zgodnie z nowoczesnym stanem nauki, zasługuje na jak największe upowszechnienie, tem bardziéj, że nie wymaga od swojego czytelnika zbyt wielkiego natężenia umysłowego (tak trudnego dla wielu), a w pociągającéj formie zapoznaje go porządkiem historycznym, ze wszystkiemi zdobyczami ducha ludzkiego na polu gwiazdo-znawstwa.

Praca pana P. już i z tego względu godną jest uznania, iż nawrócić może niejednego sceptyka, co w żaden *postęp* nie wierzy, dla którego *nihil novi sub sole* jest dogmatem, dla którego ludzkość wiecznie się kręci *in circulo vitioso.* Również mają ztąd otrzymać mogą nauczkę pobożni obskuranci, którzy uważają rozum nie jako dar boży, ale jako pychę szatańską, wiodącą do złego.....

A jednak, jakaż-to cudowna władza tego spotwarzanego przez nich rozumu ludzkiego, kiedy o własnych siłach zmierzył odległość, ponazywał i poznaczał prawa ruchu tylu światów, których ziemia małą jest cząsteczką.... ale na téj ziemi żyje człowiek, proch ciałem, a olbrzym duchem.

W publikacyi pana P. niczego nie pominięto, aby ją uczynić zajmującą i przystępną jak największéj liczbie czytelników. Oprócz dwóch tablic przedstawiających plan nieba, całe dzieło przepełnione, bądź drzeworytami wyobrażającemi najczęściéj wizerunki ludzi wsławionych nauką, bądź litografiami okazującemi dziwne kształty komet dotąd poznanych. Podobne illustracye (chociaż niezawsze szczęśliwie wyszły z pod prasy) zachęcają do czytania poważniejszéj książki, osobliwie tych co bez obrazków obyć się nie mogą.

Nie uratowałyby jéj przecież od obojętności czytelników ani zajmująca treść, ani illustracye, gdyby nie prześliczny przekład, odznaczający się na każdéj stronicy poprawnością języka, elegancyą i obrazowością stylu. Szczęśliwie tu skojarzoną została gruntowna znajomość traktowanego przedmiotu, z niezaprzeczonym talentem pisarskim tłomacza,—to też najgłębsze tajniki nauki wyszły jasno i zrozumiale, nawet dla tych co nigdy w życiu nic podobnego nie czytali.

Praca pana P. dobrym jest nabytkiem dla naszéj literatury, i szczerze ją zalecamy wszystkim, którzy przy czytaniu zastanawiać się, myśleć i uczyć się przywykli.

Jeśli już koniecznie z obowiązku bezstronnego sprawozdawcy, mielibyśmy wspomnieć coś o ujemnéj stronie téj książki, to chyba pominięcie przez uczonego tłomacza analizy spektralnéj ciał niebieskich, która w dzisiejszych czasach tak ważną rolę odgrywa. Nadto, co do samego języka a raczéj stylu, pomimo jego niezaprzeczonéj poprawności, to zbytnia kwiecistość i poetyzowanie razi czytelnika, któremu sam przedmiot nie obcy; przykrego doznaje on zawodu, iż w miejsce soczystych owoców nauki, dostają mu się kwiatki i to najczęściéj zbyt sztuczne, aby podobać się mogły. Manierowana poetyczność szczególniéj rażąca w początkowych prelekcyach.

J. Pracki.

O TRZĘSIENIACH ZIEMI

I WYBUCHACH WULKANICZNYCH.

(Dalszy ciąg).

III.

Wulkany. Wulkany odosobnione i łańcuchy gór wulkanicznych. Geograficzne rozmieszczenie wulkanów na kuli ziemskiéj.

Wszystko co się do wulkanów odnosi, tłumaczy się łatwo teorją którąśmy już wskazali; płynnego i rozżarzonego stanu wnętrza kuli ziemskiej i pę

knięć jej skorupy, w skutek stopniowego tejże ostygania. Rozmaite fenomena jakie przedstawiają nam wulkany *czynne*, są według określenia Humboldta: „Skutkami oddziaływania mass płynnych wnętrze naszéj planety składających, na zewnętrzną jej powłokę."

Ukazanie, się wulkanów i działania ich jak najściśléj połączone są z fenomenami trzęsień ziemi.

Nazywają *wulkanem*, wszelką rozpadlinę otwierającą stałą komunikację pomiędzy płynnem wnętrzem a zewnętrzną skorupą ziemi, dającą przejście tym płynnym, rozżarzonym massom nazwanym *lawami*.

W skutek tych wielkich wstrząśnień skorupy ziemnéj, tworzą się częstokroć szczeliny i przerwy prostopadłe, mniej lub więcéj kręte, przez całą jej grubość. Jeżeli ta szczelina pozostaje ciągle otwartą, wtedy będzie to wulkan *czynny*, wyrzucający bądź nieustannie, bądź w pewnych, czasem bardzo długich odstępach, żużle, płomienie, pary i gazy rozmaite, a także i potoki lawy. O takich mówić tu zamierzamy.

Rachują obecnie do trzystu wulkanów czynnych na kuli ziemskiéj. Rozdzielają je zwykle na dwie kategorje: wulkanów *odosobnionych* albo *centralnych* i *łańcuchów gór wulkanicznych*. Pierwsze są wulkanami czynnemi, obok których tworzą się często inne podrzędne otwory wybuchowe *kraterami* zwane, zawsze w związku z głównym kraterem będące. Drugie zaś rozmieszczone rzędem na pewnych odległościach, jakby kominy na fabryce, odpowiadają wszystkie jednéj zapewne rozpadlinie, rozciągającéj się na wielką przestrzeń. Dwadzieścia, trzydzieści ostrokręgów wulkanicznych, może się wznosić pod nad jedną taką szczeliną w skorupie ziemnéj, któréj kierunek samo ich rozłożenie dostatecznie wskazuje. Czasem te rozpadliny znajdują się na szczytach łańcucha gór wysokich i porozdzieranych, jak widzimy na Andach w Ameryce Południowéj. Wśród morza łańcuchy wulkaniczne występują w grupach wysp, podłużnie rozmieszczonych.

Otwory wulkanów znajdują się zwykle na wierzchołkach gór, mają kształty ostrokręgów pojedynczo wznoszących się, wewnątrz zaś przybierają formę lejka rozmaitéj obszerności, ciągnącego się w głąb do szczeliny wulkanicznéj. Ostrokręgi kratery zawierające, złożone są po większéj części z ostygłych law, żużli i wyrzuconych przez krater kamieni. Wiele jest wulkanów mających sam stożek ostroskręgi kraterowe wznoszące się na równinach, jak to widzieć się daje na wyspie Barren i w zatoce Bengalskiéj. Inne znowu mają bardzo nieznaczną wysokość, pomimo wielkiego podniesienia całego łańcucha wulkanicznego. Za przykład można postawić nowy krater Wezuwiusza, utworzony w starym kraterze w 1829 roku.

Powtarzanie się mniéj lub więcéj częste wybuchów, jakoteż i ich siła, nie mają żadnego związku z wielkością góry wulkanicznéj.

Wybuch wulkanu poprzedzony zwykle bywa hukiem podziemnym, wstrząśnieniem gruntu, czasem nawet silnemi trzęsieniami ziemi; zjawiska te trwają także i w ciągu wybuchów. Huk pochodzący z ogromnych głębokości, daje się zwykle słyszeć na znacznych przestrzeniach, jak gdyby z pobliża pochodził. Bywa najczęściéj podobny do porządnie utrzymywanego ognia artylerji. Czasem zaś rozlega się jak ciągły, głuchy grzmot podziemny. Rozpadliny rozmaitych kształtów tworzą się w czasie wybuchu, w bardzo znacznych nawet promieniach od wulkanu.

Wybuch zaczyna się od mocnego wstrząśnienia, poruszającego podstawę góry. Podniesienie się wewnątrz jej massy płynnéj i gorącéj pary, objawia się topnieniem śniegów na szczytach góry, jeśli jest nim okryta. Jednocześnie z wstrząśnieniem, które przełamuje ostatni opór stałéj powłoki gruntu, z głębi krateru wydobywają się gwałtownie i w wielkich ilościach gazy rozmaite, a głównie pary wodne.

Zauważyć należy, że pary wodne stanowią istotną przyczynę potężnych mechanicznych skutków dzisiejszych wulkanów. W pierwszych chwilach wybuchu, massy kamieni, popiołów i żużli zapełniające wnętrze krateru, wyrzucone bywają w powietrze z niezmierną siłą, skutkiem sprężystości pary gwałtownie rozwiniętéj. Para ta dobywa się z warstwy lawy płynnej, rozpalonej do czerwoności, w postaci wielkich okrągłych bąbli, które kręcąc się w powietrzu wznoszą się nad krater i tworzą nad nim jakby pióropusz, coraz to szerszy. Te massy pary wodnéj, zbierają się w końcu w gęste chmury, oślepiającéj białości. Pliniusz młody do symetrycznie rozłożonego wierzchołka jodły, porównywa chmury które tworzy para wodna, wydobywająca się z krateru przy wybuchu wulkanicznym.

Te chmury wulkaniczne bywają także szare lub zupełnie czarne od popiołów, to jest mineralnych ciał sproszkowanych, przez pary wodne uniesionych w większéj lub mniejszéj ilości. Podczas niektórych wybuchów uważano, że chmury te zniżając się ku ziemi, wydają zapach właściwy kwasom chlorowodornemu i siarkowemu, znaleziono nawet te kwasy w deszczowéj wodzie z tych chmur spadającéj.

Gęste chmury powstałe z wulkanów, bywają co chwila przerzynane błyskawicami i gwałtownemi piorunami, zgęszczając się bardziej jeszcze spadają w niszczących ulewach na stoki gór. Część wybuchów znanych pod nazwą *wulkanów błotnistych* albo *wulkanów wodnych*, niczem innem nie są, tylko temiż samemi deszczami unoszącemi z sobą wielką ilość popiołów i żużli, i spadającemi wraz z niemi.

Przejdźmy teraz do fenomenów, które w czasie wybuchu w kraterze samym się odbywają. Zauważano naprzód ciągły ruch podnoszenia się i opadania massy płynnéj lawy, krater napełniającej. Ten ruch podwójny często bywa przerywany gwałtownemi wybuchami gazu. Krater wulkanu Kilanea, na wyspie Havaii, jednéj z wysp Sandwichskich, zawiera jezioro roztopionéj lawy, 1500 stóp szerokie. Jezioro to tym ruchem podwójnym ciągle jest poruszane. Każden bąbel pary wydobywający się z krateru podnosi do góry roztopioną lawę, ona się wzdyma i pęka z ogromnym hukiem. Część lawy od wierzchu, na wpół ochłodzona i na żużle spalona, wyrzucona bywa w ten sposób, często w wielkich bryłach i na wielką odległość, niby olbrzymiéj pękającéj bomby odłamy.

Większa część kamieni i żużli prostopadle do góry wyrzuconych, spada napowrót do krateru, lub na jego brzegi, tam nagromadzając się podnoszą w ten sposób wysokość ostrokręgu kraterowego. Mniejsze kawałki i drobny popiół, porwane w górę unoszącemi się ciągle parami, przeniesione bywają na znaczne bardzo odległości od wulkanu. W 1794, popioły Wezuwiusza przerzucone były aż do Kalabryi, a 1812 roku żużle i popioły wyrzucone z Wulkanu Sgo Wincentego w Antylach, spadły aż na Barbadzie. Czasem nareszcie massy lawy na wpół zastygłéj, potężne i odosobnione, bywają wyrzucone pojedynczo, z ogromną siłą, zaokrąglają się skutkiem ruchu wirowego w powietrzu i niezupełnego ich stwardnienia; noszą one nazwę *bomb wulkanicznych*.

Mówiliśmy, że lawa roztopiona zapełniająca wnętrze krateru i podziemnéj rozpadliny, ciągle przez pary wodne podnoszoną jest do góry. W wielu razach siła mechaniczna téj pary bywa tak znaczna, że wyrzuca lawę przez wierzch krateru, tworzy ona wtedy strumień ognisty po bokach góry spływający. Ten wylew lawy przez wierzch krateru, miewa miejsce tylko w wulkanach małej wysokości, w wulkanach zaś wyniosłych, najczęściej góra pęka w jednem lub kilku miejscach u podnoża swego, i temi rozpadlinami potoki lawy wylewają się na okolicę.

Wylewom lawy towarzyszą fenomena bardzo różne, zależne od jej płynności, temperatury i stopnia pochyłości góry wulkanicznej.

Raz wylawszy się, lawa ostyga dość prędko, twardnieje ona i przedstawia po wierzchu skorupę popękaną w skutek oziębiania. Przez jéj szczeliny para wydobywa się jeszcze. Lecz pod tą stwardniałą powierzchnią, lawa wewnątrz przez czas długi płynną pozostaje i ochładza się bardzo powoli. Spływa ona zwykle bardzo wolno, zatrzymywana w swym ruchu przez massę szczątków skał, które unosi z sobą i które nagromadzają się przed tą ognistą rzeką.

Szybkość z jaką płynie potok lawy zależy od jéj gęstości, massy i pochyłości gruntu. Sprawdzono, że niektóre strumienie lawy w godzinę przebiegały 500 sążni; lecz zwyczajna jéj szybkość jest jeszcze mniejszą, człowiek zwyczajnym krokiem idący łatwo ją wyprzedzi. Potoki bardzo rozmaitéj wielkości bywają. Najznaczniejszy jaki z Etny wypłynął, ma w niektórych miejscach grubości przeszło stóp 100 a długości półtory mili. Największa ilość lawy jaka w niezbyt dawnych czasach z wulkanicznéj góry wylaną została, wyszła z wulkanu Skaptor-Jokul w Islandji roku 1783. Utworzyła ona dwa strumienie, których końce rozeszły na mil 14 od siebie, przedstawiając w niektórych miejscach niezmierną grubość, bo do 600 stóp dochodzącą, a szerokość 2 mil (*).

Pewne ciekawe zjawiska dają się dostrzegać w miejscowościach, gdzie znajdują się *wulkany błotne*, które są jakby przedzreźnianiem działań wulkanicznych. Większa część tych wulkanów przedstawia się w kształcie małych ostrokręgów, z zagłębieniem u wierzchu. Wyrzucają one błoto, pędzone siłą pary i gazów. Temperatura ciał na wierzch wyrzuconych zwykle jest dość nizką. Błoto po większéj części szare, z zapachem oleju skalnego, ulega wewnątrz krateru tym samym ruchom co i lawa w wulkanach właściwych. Gazy wydobywające się na wierzch téj płynnéj gliny, zmięszanéj z rozmaitemi solami, gipsem, naftą, siarką, czasem i amoniakiem, są zwykle: wodór węglowy i kwas węglowy.

Ze wszystkiego wnosić należy, iż powstają one w skutek podziemnego oddziaływania wewnętrznego oceanu lawy, na odpowiednie warstwy ziemi w stanie na wpół płynnym będące, w skutek przesiąkających wód powierzchni.

Wulkany błotne znajdują się dość licznie w niektórych miejscowościach, widzieć się one dają w okolicach Modeny, w Sycylji; pomiędzy Arragona i Girgenti. Pallas badał je w Krymie, niedaleko Kerczu i na wyspie Taman; Humboldt badał i opisywał te, które się znajdują w prowincji Kartaginy w Ameryce Południowéj, nareszcie widzieć je można w Indostanie i na wyspie Świętéj Trójcy.

W niektórych miejscowościach znajdują ostrokręgi z materji gliniastych, wznoszące się na płaszczyznach, z których wyrzucanie błota i gazów dawno już ustało. Lecz fenomen ten czasami pojawia się w nich znowu. Lekkie trzęsienia ziemi czuć się wtedy dają, bryły zeschłéj gliny, gwałtownie wyrzucone są w powietrze i potoki błota przerwany ruch rozpoczynają na nowo. (d. c. n.)

(*) We wszystkich tych artykułach używane są miary nasze.

SPOTKANIE U GWIAZDY

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE,

Leona Gozlan

(tłomaczona z francuzkiego).

OSOBY.

LORD MONTGOMERY.
LORD CLIFFORD.
PANNA PERCEVAL.
FLORYNA, pokojówka panny Perceval.
FILIP, służący.
WILIAM NORTON, notarjusz.
SŁUŻBA.

Rzecz dzieje się w Londynie.

(Salon bogato umeblowany, w guście Ludwika XV. W drugiéj połowie sceny, na lewo, okno z firankami. Wgłębi drzwi podwójne; po obu stronach drzwi sznur do dzwonka. Na prawo drzwi pokryte bogatą portjerą. Daléj kominek, na nim zegar, na stole lampy, i dziennik angielski wielkiego formatu. Wpierwszéj połowie, na lewo fortepian na nim porozrzucane nuty. W głębi przy oknie konsola. Szachy ustawione do gry stoją na fortepianie. Pomiędzy drzwiami i stolikiem mała biblioteka palisandrowa, w któréj niektóre książki bardzo bogato oprawne. Przy drzwiach stoi kozetka, naprzeciw niéj fotel, na prawo drugi fotel. Z przodu sceny na prawo bogata toaleta, na niéj kandelabry.)

Scena I.

FLORYNA, FILIP.

FILIP. (zapalając swiece, które stawia na fortepianie.) Więc ten pałac bardzo ci się podobał?

FLORYNA. Prześliczny, cudowny, jak pałac zaczarowanéj królewny. (patrzy w głąb sceny.)

FILIP. (stawiając lampy na toalecie.) Kup go sobie (Floryna spogląda na niego z uśmiechem.) Właśnie jest do sprzedania.

FLORYNA. (przybliżając się.) Wieleż za niego żądają? pewnie summę ogromną?

FILIP. Drobnostkę. Sto tysięcy funtów szterlingów.

FLORYNA. Czyli, sto tysięcy franków.

FILIP. Czyli, dwa miliony pięćkroć sto tysięcy franków, ale do jutra rana masz jeszcze czas do namysłu.

FLORYNA. Dwa miliony pięćkroć sto tysięcy franków!...

To, trochę zadrogo dla panny służącéj paryzkiéj aktorki: jednak namyśliłam się..... nie kupię go. Ale ja tu gadam, gadam..... (idzie i układa na fortepianie) a zapominam, że już po północy.... panna Perceval lada chwila wróci z teatru.... Jeżli nie znajdzie swego buduaru i pokoju sypialnego w najzupełniejszym porządku, będzie w okropnym humorze.... cóż dopiero jeżli dzisiejszego wieczora nie przyjętą zostanie z takiemi oklaskami, jakich się spodziewała.

FILIP. Powiadają, że twoja pani ma wiele talentu zatem nie musi być zarozumiałą.

FLORYNA. Ah! gdybyś widział jak trudno jest zadowolić te niezarozumiałe aktorki!.... (przechodzi za Filipem, i układa na toalecie.)

FILIP. Bądź spokojną. Publiczność angielska potrafi ocenić talent twéj pani.

FLORYNA. Jest to jéj pierwsze wystąpienie w Londynie; może zbyt surowo sądzić ją będą.

(Wchodzi służący niosąc przepyszne kwiaty, które oddaje Florynie.)

Od jego lordowskiéj mości, dla panny Perceval.

FLORYNA (bierze bukiet.) Jak cudowny bukiet!.... Cóż ma jednak znaczyć...? (Służący oddaje Filipowi bilet wizytowy i wychodzi.)

FILIP. Zobaczmy od kogo?. (czyta bilet) Od Lorda Montgomery.

Do licha! Jest to król naszych salonów, magnat najmodniejszy, najbogatszy i najrozrzutniejszy w całym Londynie, jednem słowem rywal Lorda Clifforda! Zapewnie musiałaś panna słyszeć o lordach Montgoméry i Clifford?

FLORYNA (kładąc kwiaty na toalecie.) Nie!... Czyż to bogaci fabrykanci? (Filip śmieje się; Floryna zbliżając się.) Może bankierowie?

FILIP. Bankierowie!... Dwaj wielcy panowie, dwaj bohaterowie wielkiego świata; zacięci współzawodnicy. Aleksander i Daryusz, Cezar i Pompejusz!... O nikim więcéj nie mówią w Londynie, jak o lordach Clifford i Montgoméry. Prawie w jednem wieku, posiadacze ogromnych majątków, wszelką bronią, jaką im tylko ich niezmierne dochody dostarczyć mogą walczą z sobą o palmę pierwszeństwa w salonach i o popularność w klubach artystokratycznych. Jeżeli jeden stawia pałac, drugi już przemyśla nad budową okazalszego jeszcze. To samo współubieganie na wyścigach... ich konie i pojazdy zarówno podzielają uwielbienia znawców. Nie wi m, czy dotąd kiedy współzawodniczyli w miłości, i którenby odniósł zwycięztwo, ale śmiało mogę ręczyć, że gdyby jednemu przyszła myśl skoczyć w Tamizę z wysokości mostu Londyńskiego, natychmiast drugi, przez pychę lub zazdrość rzuciłby się w nią z mostu Waterloo.

(Inny służący wchodzi niosąc wazon z porcelany chińskiéj.)

SŁUŻĄCY. Od jaśnie wielmożnego Lorda dla panny Perceval.

FLORYNA (biorąc wazon.) Jeszcze jeden podarunek.

FILIP (biorąc bilet z ręki służącego.) Od Lorda Clifford.

FLORYNA Czy ten, o którym wspomniałeś?

FILIP. Ten sam, czyż nie mówiłem?

FLORYNA. Cześć obydwom!.. W samę porę przysłano ten piękny wazon. (Kładzie w niego kwiaty i stawia na toalecie). Ślicznie wygląda... Jak miła niespodzianka będzie dla pani... (służący otwiera drzwi w głębi). Ale otóż i ona!

Scena II.

CIŻ, PANNA PERCEVAL

PANNA PERCEVAL, (wchodzi w ubiorze teatralnym, albo balowem; na głowie kwiaty i drogie kamienie, suknia jedwabna lub tiulowa.)

Szalone powodzenie, moja Floryno!... Przywoływano mnie kilkakrotnie po każdym akcie, i zapamiętale klaskano! Trzydzieści tysięcy franków dochodu. Grad bukietów i wieńców, potop kwiatów, pojazd niemi zapełniony.

FLORYNA, (pokazując wazon.) Jakże te się Pani podobają?

P. PERCEVAL. (zdziwiona,) Ah!

FILIP, (kładzie bilety wizytowe na konsoli, pokazując je Florynie.)

P. PERCEVAL. Ależ to prześliczne. Co za gust! co za wykwinty dobór kwiatów! A ten wazon, jaka oryginalność!.. nie widziałam nic równie pięknego w Paryżu. Od kogoż ten piękny podarunek?

FLORYNA. Powiedz pani te piękne podarunki, gdyż jeden przysłał kwiaty, a drugi wazon. Wreszcie ich nazwiska, są na biletach (bierze bilety z konsoli podaje p. Perceval).

FILIP (anonsując.). Lord Clifford! (P. Perceval postępuje w głąb sceny. Floryna przechodzi na prawo, i posuwa ku środkowi fotel stojący przy toalecie.

Scena III.

CIŻ, LORD CLIFFORD.

CLIFFORD, (kłaniając się z uszanowaniem.) Wybacz pani, że nie mogłam pokonać niecierpliwości, aby jak najprędzéj powinszować ci świetnego powodzenia w obec kwiatu arystokracji angielskiéj.

P. PERCEVAL. Doprawdy panie... jestem uszczęśliwiona... przyjęcie tak pochlebne.

CLIFFORD. Tak zasłużone... Teraz kiedy dopełniłem obowiązku, czy pozwolisz pani błagać cię o łaskę?..

P. PERCEVAL. Panie.... (wskazuje mu fotel przy toalecie, Clifford przechodząc kłania się przed P. Perceval. (Floryna, bierze krzesło które stoi przy kominku i stawia go z prawej strony Lorda Clifford, potem oddala się trochę na lewo, p. Perceval siada w środku Cicho do panny Perceval.)

— To on! (Na znak panny Perceval, wychodzi drzwiami w głębi)

CLIFFORD. Jutro masz pani występować przed królową.

P. PERCEVAL. Tak, mam mieć ten zaszczyt. Dyrektor zawiadomił mnie o tem.

CLIFFORD. Przybywasz pani z Francji, zapewne więc jéj pojazdy jeszcze nie gotowe, przyszedłem zatem ofiarować jéj mój na dzień jutrzejszy.

P. PERCEVAL. Molordzie, tyle względów dla obcéj osoby...

CLIFFORD. O pani! w Anglji nie czekamy śmierci genialnego artysty, z oddaniem mu czci należnéj. Każdy z moich rodaków to samoby uczynił, żałuję tylko że herb Sztuartów nie zdobi drzwiczek pojazdu który pani ofiaruje.

P. PERCEVAL. Z podziękowaniem przyjmuję, (po chwili milczenia.) Jak znajdujesz te kwiaty Milordzie?

CLIFFORD (na stronie lornetując kwiaty.) Czyliżby już Lord Mongoméry.... (głośno) Czyż mam objawić szczerze moje zdanie?

P. PERCEVAL. I owszem Mylordzie.

CLIFFORD. Kwiaty to nie są żadną osobliwością w téj porze roku.

P. PERCEVAL. Tak cudownie dobrane!

CLIFFORD. Wielka sztuka, piękne kwiaty w lecie.

P. PERCEVAL. We Francji nawet nie mamy piękniejszych.

CLIFFORD. Nie przypatrzyłaś się pani dobrze. (Wstają i zbliżając się do toalety, przypatrują się kwiatom.) Ta róża naprzykład, prawda, piękna, ale bardzo pospolita .. Za gwineę dostać ją można.

P. PERCEVAL. A ta.... Mylordzie, patrz i uwielbiaj, jaka świeżość, aromat, bogactwo kolorów.

CLIFFORD. Takie mocne i ordynarne..

P. PERCEVAL. A te kamelie?... te blade kamelie.. Co za poezya.

CLIFFORD. Za blade... poezya klasyczna. Albo te tulipany, jak rażące cienie... Szczęściem nie jestem Holendrem, bo w takim razie, pomimo całego poważania, jakie mam dla tego, co je przysłał, i szacunku dla téj, co je przyjąć raczyła, poobrywałbym listki i wrzucił w ogień... Tak w ogień.

P. PERCEVAL (na stronie przechodząc scenę. Widać on przysłał wazon, kiedy tak gani kwiaty (głośno) Mylordzie nie jesteś pobłażającym.

CLIFFORD. Wybacz, och! wybacz mi pani moję szczerość brytańską.

P. PERCEVAL. (na stronie.) Prawdziwie brytańską...

FILIP (w głębi meldując.) Lord Montgoméry.

CLIFFORD (na stronie.) Już.

P. PERCEVAL, (spojrzawszy na bilety, które jej oddała Floryna, na stronie.) Ten co przysłał kwiaty.

Scena IV.

P. PERCEVAL, MONTGOMERY, CLIFFORD.

MONTGOMERY. Pani... (Clifford zbliża się i kłania. Montgoméry na stronie, oddając mu ukłon.) Jakto, Lord Clifford już tu? (głośno). Od kilku dni było w Londynie wiele znakomitości panujących i detronizowanych, żadnego z nich nie miałem ciekawości widzieć; kilka godzin zaledwie bawisz pani w Anglii, i pośpieszam złożyć ci moje powinszowania i hołdy.

P. PERCEVAL. Rzeczywiście, nie tracisz czasu Mylordzie.

MONTGOMERY (patrząc na Clifforda.) Daruj pani powinienem był przyjść prędzéj. Jakże szczęśliwy dziś jestem Mylordzie, zaledwie rozstaliśmy się w teatrze, gdzie wspólnie może uwielbialiśmy talent pani, i znów spotykam cię tutaj.

CLIFFORD. Mylordzie, i ja z równem zadowoleniem to samo pomyślałem w téj chwili (przechodzi i opiera się na poręczy fotela stojącego przy toalecie).

P. PERCEVAL. Właśnie mówiliśmy o panu.

MONTGOMERY. O mnie? Ach pani, cóż za szczęśliwy zwrot rozmowy zjednał mi ten wysoki zaszczyt.

P. PERCEVAL. Pokazywałam Milordowi piękne kwiaty, które raczyłeś mi przysłać.

MONTGOMERY. Chciałbym był znaleść piękniejsze, ale nasza biedna Anglia nie jest kochanką słońca, jak wasz cudny kraj.

P. PERCEVAL. Nie mów tego, Mylordzie bukiet twój godzien podziwu. W Anglii umiecie panowie stwarzać to, czego wam odmówiła przyroda, słońce zastępujecie gazem, a z węgla powstają kwiaty i owoce.

MONTGOMERY (lornetując wazon.) Ale piękne kobiety z Paryża do nas przybywają.

P. PERCEVAL. Roztargiony jesteś Mylordzie.

MONTGOMERY. Dla tego, że powiedziałem prawdę cóż za epigram.

CLIFFORD. W isto cie,roztargniony jesteś Mylordzie, myśli twoje gdzieś daleko, tam na toalecie... Ten Chiński wazon bardzo cię zajmuje.

P. PERCEVAL (na stronie.) Wyraźnie żartują z siebie wzajemnie.

MONTGOMERY. Tak... na chwilę zwrócił moją uwagę, lecz...

CLIFFORD. Nie ma szczęścia podobać się panu.

P. PERCEVAL. Można to przypuszczać? Wazon tak piękny, a Mylord jest takim znawcą...

MONTGOMERY. Nie widziałem go dobrze...

CLIFFORD (podając wazon.) Niech Mylord raczy się przypatrzyć.

MONTGOMERY. Mylordzie, ponieważ ten wazon nie jest ani twoim przyjacielem, ani krewnym, ani też żadnemi związkami krwi nie połączony z panią, wolno mi więc będzie powiedzieć co myślę.

CLIFFORD. Bez wątpienia.

MONTGOMERY (biorąc wazon.) Najpierw, ten niby Chiński wazon, nie pochodzi z Chin, jest to porcelana fałszowana przez towarzystwo Indyjskie, tém nieprawém pochodzeniem traci całą wartość w oczach znawców. Jednem słowem, jest to wyrób tuzinkowy, pospolity.

P. PERCEVAL. Przypatrz się jednak Milordzie tym fantastycznym widokom, tym pysznym mostom wyrobionym z jednéj sztuki, tym złotym miastom wzniesionym na skałach, tym otyłym mandarynom, tak bogato kolorowanym....

MONTGOMERY (ciągle trzymając wazon.) Udani Mandarynowie.

P. PERCEVAL. Nie sądź tak surowo Mylordzie, jest to podarunek który dopiero odebrałam.

CLIFFORD (na stronie.) Masz tobie.. domyśla się.. (zbliża się do kominka.)

MONTGOMERY. Chyba ktoś co nigdy nie widział składów Wartona, tak bogatych w porcelanę Chińską i Japońską, mógł ofiarować podobny podarunek. Oświadczam stanowczo, że wazon ten jest szkaradny. (Przyszedłszy do toalety upuszcza wazon i tłucze w drobne kawałki. Clifford przechodzi na lewo.)

P. PERCEVAL. O mój Boże!

MONTGOMERY. Ach! jakże jestem niezręczny.

P. PERCEVAL (dzwoniąc przy drzwiach.) Jaka szkoda!.. (Do wchodzącego służącego.) Zbierz te kawałki (Służący spełnia rozkaz,—na stronie) To się dopiero nienawidzą!

CLIFFORD (na stronie.) Trzy tysiące franków. Ah! nie żałuję ich wcale.

P. PERCEVAL (poważnie do Montgomerego.) Jakie jest twoje powołanie Mylordzie.

MONTGOMERY. Jestem marynarzem, kapitanem okrętu.

P. PERCEVAL. Mylordzie, w téj chwili możnaby cię wziąść za utrzymującego skład porcelany, który dla tego tłucze mój wazon, aby mnie zmusić do nabycia u niego innego.

MONTGOMERY. Byłoby coś prawdy w tem przypuszczeniu. Jutro będę się starał okazać, jakie wazony mogą być godne zaszczytu stania u pani w salonie. Ale dajmy temu pokój. Cały wielki świat Londynu mówi tylko o obecności pani w naszym grodzie.

(d. c. n.)

Różne wiadomości.

* *Moskiewski komitet słowiański.*—Dnia 11 maja odbyło się posiedzenie komitetu, zagajone przemową M. Pogodina, w której skreślił historyczny przegląd stosunków Piotra Wielkiego z zachodnimi i południowymi słowianami. Sekretarz komitetu N. Popow w uzupełnieniu mowy prezesa przemawiał o stosunkach Piotra Wielkiego co do kwestji wschodniej. Następnie nadmieniwszy, że 11 maja kościół obchodzi odnowienie Carogrodu czyli przeniesienie stolicy z Rzymu do Carogrodu, nazwanego przez ojców pierwszego soboru powszechnego Konstantynopolem, z czem połączony był z jednéj strony tryumf chrześcjaństwa pośród greków, a z drugiej obchód pamiątki na część pierwszych nauczycieli słowiańskich świętych Cyryla i Metodjusza, którzy przełożyli księgi kościelne na starożytny język bulgarski, wynurzył życzenie, aby spór kościelny pomiędzy grekami a bulgarami został spokojnie i sprawiedliwie rozstrzygnięty. Przytem jednakże nadmienił, że zagrażające ze strony soboru greckiego potępienie bulgarów, jako jednostronne, nie może znaleść spółczucia w żadnym kraju słowiańskim. Następnie przedstawione były wiadomości o stanie szkoły żeńskiej przy klasztorze aleksiejowskim, o przyjęciu do niej ósmej stypendystki i o oczekiwanym wkrótce przybyciu kilku uczennic południowo-słowiańskich do pomienionej szkoły i do szkół zgromadzenia władyczno-pokrowskiego i towarzystwa pracowitości. Potem zakomunikowano było o wyjeździe trzech czarnogórskich uczniów szkoły technicznej komisarowskiej z powodu słabości do swego kraju i o potrzebie dalszego udzielania stypendjó na rok jeden trzem słowianom południowym, kształcącym się w szkole malarstwa, snycerstwa i budownictwa. Dalej zadeklarowano o nadesłaniu książek z krajów słowiańskich do bibljoteki komitetu i o wysłaniu z komitetu ruskich książek do krajów słowiańskich, oraz kompletnego zbioru nut pieśni wielkoruskich i małoruskich, nadesłanych komitetowi przez N. Rubinsztejna, i nut kościelnych, dostarczonych przez kapłana D. Razumowskiego. Nadto zawiadomiono, że komitet w ostatnim czasie był pośrednikiem między krajami słowiańskiemi a komitetem wystawy politechnicznej, tudzież polecił kilku techników czeskich i galicyjsko-ruskich i nauczycieli towarzystwom i przedsiebiercom ruskim. Odczytane było sprawozdanie z ruchu funduszów komitetu do 11 maja; przyczem wynurzono najgłębszą wdzięczność komitetu ministrowi oświecenia publicznego, hrabiemu Tołstojowi, który wyznaczył i w tym roku tysiąc rubli na zasilenie funduszuw komitetu. Przedstawiono dwie prośby z Bośnji i Hercogowiny o nadesłanie trzech i dzwonów do prawosławnej cerkwi w Sarajowie i o pieniężne wsparcie na wystawienie ikonostasu w prawosławnej cerkwi w Mostarze; załatwienie tych prośb zlecono rozporządzającemu zebraniu komitetu.—Zakomunikowano treść ostatnich sprawozdań petersburgskiego i kijowskiego oddziałów, oraz odeskiego Towarzystwa słowiańskiego; przyczem wynurzono zupełne spółczucie uczonej działalności oddziału petersburgskiego. Nakoniec odczytane były niektóre ustępy z historji moskiewskiego komitetu z drugiego pięciolecia jego istnienia (1863—1867). Wydrukowanie tego zeszytu i oddzielnej broszury popularnej o zadaniach i funduszach słowiańskich komitetów w Rosji—odłożono do jesieni. Z upływem roku bieżącego skończy się trzecie pięciolecie moskiewskiego komitetu, poczem niezwłocznie wydrukowany będzie 3-ci zeszyt jego historji. (*Sow. Izw.*)

Opis ryciny kolorowéj.

Fig. 1. Ubranie domowe. Suknia z gładkiego perkalu niebieskiego, garnirowana wolantem z materjału w paski. Tunika i kaftanik z perkalu w paski białe i niebieskie, wycięte są w zęby i objęte pliską skośną. Kołnierzyk biały webowy i mankiety również naszyte taką pliską w paski. Na głowie opaska z długiemi końcami ze wstążeczki niebieskiej.

Fig. 2. Ubranie poranne z białego półbatystu. Wolanty przy sukni, pelerynce i szerokich rękawach z półbatystu szamoa, wycięte są w zęby i wyszyte w maszynie łańcuszkowym sposobem, grubym jedwabiem.

Fig. 3. Kostium spacerowy. Suknia z popielatego wyrobu „sultane" naszyta plisami z różowego „sultane" lub materji jedwabnej z patkami popielatemi. Kapelusz popielaty krepowy, układany w fałdki z welonikiem i różami; krawatka muślinowa. Rękawiczki popielate.

Druk. K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek

MIŁOŚĆ DZIEWICY

OPOWIADANIE

Z WYPADKÓW PRAWDZIWYCH

ZASZŁYCH MIĘDZY ROKIEM

1770 a 1794

UŁOŻONE PRZEZ

ERNESTA DAUDET.

(Dalszy ciąg).

Jakże straszną dla Dolores była pierwsza noc po owem zwierzeniu? Ileż to łez wylała, ile boleści, ile walk przebyła! Obie z Antoniną w jednym sypiały pokoju, nie mogła więc nawet zapłakać głośno, aby towarzyszka nie poznała całego ogromu jej boleści, jéj jak mówiła słabości. Nie uczuwała do przyjaciółki nienawiści, zazdrości ani nawet żalu, pojmując, że będąc na jej miejscu, musiałaby także pokochać Filipa. Płakała, lecz palące łzy płynące z jej oczu, nie gniew i zawiść, ale rozpacz zdradzały.

Od chwili gdy Filip wyznał jéj miłość swoją, jakkolwiek przewidywała dzielące ich przeszkody, zawsze jednak w głębi duszy tajemną pocieszała się nadzieją. Miała czas przed sobą, a wiedziała jaki to potężny sprzymierzeniec. Już sama myśl, że margrabia nie upatrzył jeszcze kobiety, którąby pragnął dać za żonę synowi, dodawała jéj pociechy i otuchy. Ach! teraz już rozwiały się ostatnie złudzenia, przychodziła chwila strasznéj stanowczéj walki. W głębi jéj duszy dwa odzywały się głosy. Jeden mówił: kochasz, jesteś kochana, strzeż praw twoich, walcz, błagaj, popieraj usiłowania Filipa; brońcie wspólnemi siłami sprawy miłości waszéj, i jeśli nie chcecie przekroczyć woli margrabiego, opierajcie się przynajmniéj, a przyjdzie chwila, że pomyślny skutek uwieńczy usiłowania wasze. Drugi głos mówił znowu: Margrabia jest twoim dobroczyńcą, margrabina kochała i wychowywała cię, jak własną córkę; im to zawdzięczasz, że życie twoje nie wlokło się w nędzy, ciemocie i poniżeniu, oni to dali ci poznać Boga, miłość rodzicielską, rozkosze rodzinne, dobrobyt i wszelkie powaby życia..... Czyliż wszystko to nie zasługuje na wdzięczność? Czyliż nie powinnaś zmusić serca do milczenia; aby nie zniweczyć ich najdroższych nadziei?.... Pierwszy głos znowu się odzywał: „Filip będzie najnieszczęśliwszym jeśli go opuścisz, zatrujesz mu przyszłość, całe życie złorzeczyć ci będzie, a ty sama gorzkiemi łzami opłakiwać będziesz przesadzone skrupuły, nakazujące ci tak, śmieszne, bezcelowe poświęcenie". Drugi odpowiadał: „Antonina pocieszy Filipa i powoli potrafi pozyskać jego przywiązanie. Być może, iż w pierwszéj chwili Filip złorzeczyć ci będzie, lecz przyjdzie dzień, w którym pozna powód twojej odmowy, a wtedy zbuduje ci w sercu swojem ołtarz czci i wdzięczności. Ty możę do końca życia boleć i płakać będziesz, ale łzy twoje płynąć będą cicho, będziesz spokojna i silna świadectwem własnego sumienia, bo spełnisz trudny, ale święty obowiązek.

I tak noc całą walczyła sama z sobą; nareszcie nad rankiem serce i wyobraźnię zmusiła do milczenia, a raz postanowiwszy zrobić z siebie ofiarę, zamierzała nie przytłumiać, ale owszem zachęcać budzącą się miłość Antoniny. Przyjdzie chwila mówiła sobie, że Filip nie będzie obojętnym na powaby i przymioty panny de Mirandol, wtedy lękając się przywiedzenia go do rozpaczy, będzie mogła zdobyć się na *bohaterskie* kłamstwo, i powiedzieć mu, że go kocha... ale tylko jak czuła siostra dobrego brata.

Tak upłynęło trzy miesiące. Filip nie mogąc doczekać się odpowiedzi mającej stanowić o jego losie, a nie chcąc sam pytać znów o nią Dolores, aby nie złamać danego jéj przyrzeczenia, postanowił uciec się do pośrednictwa Antoniny. Wiedział jak obie szczerze się pokochały, jak zupełne pokładały w sobie zaufanie, a z drugiej strony spodziewał się, że Antonina de Mirandol nie odmówi mu swego wstawienia. Od czasu powzięcia tego postanowienia, zmienił zupełnie dotychczasowe swoje z nią postępowanie; dotąd był dla niej zawsze zimno—ceremonialnie grzecznym,—teraz stał się uprzejmym, uprzedzającym, a niekiedy nawet otaczał ją względami, jakie dotąd wyłącznie tylko przybranéj siostrze okazywał. Antonina, która coraz więcéj kochała Filipa, spostrzegła tę zmianę jego obejścia, i—jakby to każdy w jéj miejscu uczynił, tłómaczyła ją zgodnie z życzeniami swego serca. Filip teraz nie unikał jéj, rozmawiał z nią, nie raz w powozie siadał obok niej, podawał ramię na przechadzce, przynosił bukiety, które sam układał—i jakże zakochana dziewczyna nie miała się pomylić?.. To też po dniach kilku, nie mogąc ukryć radości napełniającéj jéj serce rzekła pewnego wieczora do Dolores:

— Filip mnie kocha!

Dolores spojrzała na nią. Czyż podobna pomyślała sobie, aby Filip tak prędko o niej zapomniał? Wprawdzie po długiéj walce jaką stoczyła z własnem sercem przyzwoliła w głębi duszy, aby Filip poświęcił ją dla hrabianki de Mirandol, i oceniając miłość i przymioty tej szlachetnej dziewicy, oddał jej serce i rękę; była więc gotowa do poświęcenia, wyrzekała się własnego szczęścia, ale widzieć się zapomnianą tak łatwo i tak prędko, wiedzieć że Filip może zmieniać uczucia jak balowe rękawiczki, to wydało jéj się strasznem, potwornem....

— Gdyby tak być miało, Filip zarówno nie byłby godzien ani jéj ani mojej miłości,—ale to niepodobna. Antonina się myli.

Aby się o tem przekonać, zapragnęła sprawdzić czy rzeczywiście postępowanie Filipa upoważnia do podobnych wniosków, a mianowicie w czem Antonina upatruje dowody miłości. Po krótkiej rozmowie przekonała się, że zakochana dziewczyna łudziła się najzupełniej, biorąc prostą grzeczność za oznaki uczucia nie wywodziła jéj jednak z błędu, i Antonina zasnęła szczęśliwa słodkiem kołysana marzeniem.

Nazajutrz rano Filip spotkał Antoninę, gdy przechodziła przez galerję zamkową.

— Chciałbym pomówić z panią, rzekł cicho i prędko, przechodząc obok niéj, zejdź pani do parku, czekać cię będę w alei po za fontanną.

Wzruszona zbiegła co prędzej do parku; po za fontanną ciągnęła się długa, tak zacieniona aleja, iż słońce nigdy nie zdołało przedrzeć się przez gęste, osłaniające ją drzew konary; tam miał czekać Filip, tam skierowała swe kroki. Idąc wyrzucała sobie, że z taką łatwością zezwoliła na żądanie Filipa, odwracała się co chwila, aby przekonać się czy ją kto nie śledzi, i pomięszana szeptała sobie zarazem z zadziwieniem i trwogą:

— Ach! więc ja!....ja! mam z nim schadzkę.

Spostrzegając nadchodzącą, Filip zbliżył się ku niéj; wtedy spostrzegła, że był zupełnie spokojnym i panem siebie, a twarz jego żadnego nie zdradzała wzruszenia, a słodki uśmiech z jakim ją witał, zdawał się zapowiadać, że nie chodzi tu o nic nadzwyczajnego ani uroczystego. Antonina smutnego doznała zawodu. Zdawało jéj się, że ujrzy Filipa bardzo bladem, wzruszonym, z rozrzuconemi włosami, z oczami pałającemi gorączkowym ogniem, na wzór owych książkowych kochanków, których męczarnie i miłość opiewały kilka niewinnych romansów jakie czytała.

— Daruj pani, rzekł Filip, iż ośmielam się uciekać do twego pośrednictwa; ale to o co chcę cię prosić jest rzeczą tak ważną dla mnie, że od niéj zależy cała przyszłość moja, szczęście lub niewola całego życia. Wszak nie odmówisz mi pani swéj pomocy?

Słowa te tak niepodobne do tych jakie spodziewała się usłyszeć, dziwnie uspokajająco podziałały na pannę de Mirandol.

— W czemże mogę być panu użyteczną zapytała.

— Kocham, odrzekł.

Zadrżała i znów zmięszana i niespokojna, spuściła oczy. Filip mówił daléj.

— Ta którą kocham jest dobra jak ty pani, i sama przyznasz, że nie ma na świecie godniejszéj kochania istoty.... Kocham Dolores.

Antonina zaledwie zdołała wstrzymać krzyk boleści, gwałtem wydzierający się z piersi. I blada obu rękami przycisnęła serce,—Filip nie tego nie widział. I zaczął opowiadać jak od lat dziecinnych kochał Dolores jak siostrę, jak później uczucie to zamieniło się w miłość kochanka, jak od kilku miesięcy oczekuje daremnie odpowiedzi ukochanéj, i błagał pannę de Mirandol, aby przemówiła za nim i uprosiła przyjaciółkę, aby dłużej nie dręczyła go okropną niepewnością, która przywodzi go do rozpaczy. Antonina przyrzekła zadość uczynić jego prośbie, sama prawie nie wiedząc co mówi taki zamęt panował w jéj głowie, taki ból ściskał serce.

Nareszcie została sama i nie potrzebowała już tłumić boleści szarpiącéj jéj duszę. Powoli zazdrość zaczęła nurtować jéj łono, i uczuła wielki żal do Dolores, iż przyjmując jéj zwierzenia, nie uprzedziła jéj, iż Filip kocha ją tak dawno i nie może już rozrządzać swem sercem.

— Co tobie, Antonino? zawołała Dolores, widząc ją bladą, znękaną i zalaną łzami.

— Pytasz co mi jest? Filip przed chwilą błagał abym przemówiła za nim, i wymogła na tobie abyś nie odrzucała jego miłości... Jestem zawstydzona, upokorzona. .. Ach! Dolores, mogłaś oszczędzić mi téj boleści.. .. wyznaniem wszystkiego..... O! źle postąpiłaś, a ja tak ufałam twojéj przyjaźni.

Zaniosła się od płaczu i nie mogła nic więcéj przemówić. Dolores równie cierpiała niewymownie; niczem nie zdradziła swéj boleści i litując się nad Antoniną, otarła jéj zapłakane oczy, i rzekła łagodnie:

— Prawda, droga moja, że Filip kocha mnie i wyznał mi miłość swoją, ale zbadawszy serce moje, przekonałam się, iż Filip jest i zawsze tylko bratem mi będzie. Nigdy nie zostanę jego żoną!

— Jakto? Filip cię kocha, a ty nie chcesz zostać jego

żoną!... zawołała Antonina nie mogąc wyjść z podziwienia.

— Nie chcę, nie mogę odpowiedziała, a co więcéj powiem ci, iż jak tylko cię poznałem zaraz pomyślałam sobie: Oto właśnie kobieta jakby stworzona na żonę Filipa, jej miłość pocieszy go po mojéj odmowie....

— Myślałaś o tem? zawołała panna de Mirandol, rzucając się w objęcia przyjaciółki, a ja miałam żal do ciebie... Ach! przebacz mi, droga moja!

Uśmiech bohaterskiéj odwagi przebiegł po ustach Dolores, pocałowała przyjaciołkę, mówiąc:

— Nie tylko przebaczam, ale wszelkich dołożę starań, aby zapewnić ci szczęście. Zobaczysz, Filip będzie cię kochał.

— Niestety! to niepodobieństwo; kocha cię, myśl jego goni za tobą, wzrok jego nieustannie spoczywa na tobie, i jakżeż mógłby cię zapomnieć? O! moja droga, mimowolnie straszną jesteś dla mnie rywalką, widząc mnie zawsze obok ciebie, Filip nigdy nie zwróci na mnie uwagi, nie odgadnie mego serca.

— Jeśli tak, więc odjadę.

— Jakto! ty miałabyś dom ten opuszczać z mojéj przyczyny!... nie! na to nigdy nie zezwolę...

— Oddalę się czasowo, dopokąd nie zostaniesz żoną Filipa, po ślubie wy pojedziecie do Paryża, wtedy ja wrócę doglądać margrabiego i osładzać jego samotność.

Zostawszy sama, Dolores załamała dłonie; upadając pod brzemieniem cierpienia. Chwilami zdawało jéj się, że podobna ofiara przechodzi jej siły, że nie starczy jéj odwagi do jéj spełnienia, jednak po głębszym namyśle powiedziała sobie.

— Tak być powinno, więc tak być musi.

I nakazując spokój wzburzonemu sercu, udała się do gabinetu margrabiego, wyznała mu całą prawdę; powiedziała, że kocha Filipa jest kochaną wzajemnie, ale nie chcąc stawać się przeszkodą spełnienia najdroższych życzeń margrabiego, mających na celu przywrócenie rodowi Chamoudrin, owéj minionéj jego świetności, dobrowolnie zrzeka się swoich najdroższych uczuć i nadziei, ustępując Antoninie miejsca i praw swoich. Margrabia zrozumiał całą rozciągłość ofiary na jaką skazywała się przybrana jego córka, nie miał jednak siły odmówić przyjęcia poświęcania, mającego urzeczywistnić jego nadzieje. Ubolewał nad smutnym losem Dolores, ale zarazem rad był postanowieniu zwalniającemu go od wywierania przymusu, celem skłonienia syna do poślubienia bogatéj dziedziczki. Gdy jednak Dolores oznajmiła mu, że opuści Chamoudrin i nie wróci aż po ślubie Filipa, długo nie chciał zezwolić na to rozłączenie.

— Jest to nieuchronna konieczność, odparła Dolores; dopokąd będziemy razem, Filip zawsze mieć będzie nadzieję pozyskania mego serca, chcąc aby zapomniał o mnie, trzeba postawić między nami nieprzepartą zaporę, trzeba żeby wierzył, żem już umarła dla świata. Przez lat więc dwa pozostanę w klasztorze, a potem powrócę pielęgnować cię i doglądać...

Margrabia wzruszony do głębi duszy szlachetnością Dolores, która w prostocie nie zdawała się nawet pojmować caléj bohaterskiéj wielkości swego postępku, przygarnął ją do piersi, powtarzając słowa nieograniczonego przywiązania i wdzięczności. Rozstali się oboje równie silnem miotani wzruszeniem. Dolores zeszła zaraz do parku, a Filip zobaczywszy ją z daleka, pomyślał:

— Usłyszę nareszcie mój wyrok.

Dolores była spokojna, smutek odbijający się w całéj postaci nie zasępiał pogody jéj czoła.

— Antonina mówiła ze mną, rzekła pewnym głosem; tylko obawa zasmucenia cię była powodem, że dotąd nie dałam ci odpowiedzi, któréj się domagasz. Po rozmowie twojéj z Antoniną nie mogę odwlekać dłużéj, musimy pomówić z sobą otwarcie.

Filip wiedziony przeczuciem i spuścił głowę na piersi.

— Odwagi, kochany bracie, nie powiększaj boleści mojéj widokiem twojéj rozpaczy, już i tak cierpię niewymownie, że mimowoli muszę cię zasmucić. Od owego wieczora w którym wyznałaś mi miłość twoją, nie przestałam badać mego serca szukając w niem uczucia odpowiedniego twojemu... daremnie! Kocham cię bardzo Filipie, zdrowie, spokój, szczęście, życie nawet z rozkoszą oddałabym za ciebie; od pierwszych lat dzieciństwa kocham cię jak najtkliwsza siostra.... ale innego uczucia serce moje nigdy nie znało i uczuć dla ciebie nie zdoła. Wierzaj mi gdybym nawet zezwoliła na nasz związek i została żoną twoją, inaczéj jak dziś kochaćbym cię nie mogła i oboje nie bylibyśmy szczęśliwi...

— A czyż mogę być szczęśliwym bez ciebie!.... Czemuż! nie chcesz, nie możesz mnie kochać!... zawołał z boleścią.

— Możeż zapomnieć, że od lat ośmnastu byłeś mi bratem? — odrzekła, starając się go pocieszyć. Zresztą małżeństwo nasze jest niemożliwem, bo nie zgadza się z wolą i nadziejami ojca twego i nie podniosłoby świetności imienia, którego jedynym jesteś spadkobiercą.

— Cóż mnie może obchodzić świetność i próżna duma rodowa ojca mego, zawołał Filip. Mamże stać się ofiarą niedorzecznych przesądów? Od lat pięciu żyłem nadzieją, którąś zniszczyła w téj jednéj chwili jeśli postanowienie twoje jest nieodmienne, jeśli rozpacz moja cię nie wzruszy, nie dbam o świat, nie dbam o życie....

— Filipie, zapominasz o tych co cię kochają.

— A gdzież ich mam szukać? Ojciec kocha we mnie dumę swego rodu. Ty Dolores nie kochasz i nie troszczysz się o mnie... Jedna tylko matka kochała mnie prawdziwie, ona jedna zrozumiałaby mnie pocieszyła, dodała odwagi, gdy jéj zbrakło, stałem się teraz samotny, przeszłość mnie dławi a przyszłość odpycha.

Łzy zabłysły mu w oczach, załamał dłonie i opuścił głowę na piersi. Dolores patrzyła na niego, serce pękało jéj z bólu....

— Nie mów tak Filipie, odrzekła nareszcie, słowa twoje ubliżają miłości ojca i mojemu przywiązaniu.. to niewdzięczność. W każdym razie tego przynajmniéj zaprzeczyć nie możesz, że Antonina cię kocha..

— Antonina?

— Kocha cię najtkliwszą miłością, sama mi to wyznała, teraz kiedy już wiesz o tem, nie wolno ci mówić, że tylko obojętne i niewdzięczne serca biją w koło ciebie.

— Jeśli tak kocha i tak cierpi jak ja, to żal mi jéj szczerze, rzekł po chwili.

— Staraj się pocieszyć... i zapomnij o mnie.

— Mogęż zapomnieć ciebie, zatrzeć w duszy twój obraz, aby stawić w jego miejsce obojętną mi postać Antoniny? Czyż sądzisz, że te kilka słów twoich zdołają od razu wydrzeć mi nadzieję, którą żywię od tak dawna?... Mylisz się Dolores, straszny ból szarpie mi serce, ale nie poddaję się jeszcze rozpaczy, i nic nie zdoła mnie skłonić do wyrzeczenia się ciebie.... O tak Dolores! ty będziesz, ty musisz być moją..... choćby przez litość nad strasznem cierpieniem jakie mnie całego przenika.

Słuchając słów tych, serce biednéj Dolores pękało z boleści. Pojęła, że chcąc zniweczyć nadzieję z którą Filip nie chciał się rozstać, oraz zmusić go do zaślubienia Antoniny, potrzeba uciec się do ostatecznego środka, rzekła więc poważnym głosem:

— Filipie, za nadto jesteś mi drogim, abym mogła dozwolić, iżbyś pieszczał się niemożliwem do urzeczywistnienia złudzeniem. Postanowienie moje jest nieodwołalne, nigdy nie będę twoją, gdyż już ślubowałam.....

— Ślubowałaś! zawołał Filip głosem zdradzającym zarówno gniew jak podziwienie. Ty ślubowałaś!... i komuż?....

— Bogu! odpowiedziała łagodnie. Zawiadomiłam już ojca twego, że chcę wstąpić do Karmelitek.

Filip odskoczył, przerażony, osłupiały, na twarzy jego odbił się wyraz strasznéj boleści, załamał dłonie i jakby nieprzepartą gnany siłą, zaczął biedz prędko samotną aleją; z piersi jego głośno wydobywały się łkania, usta powtarzały imię ukochanéj, którą tracił bezpowrotnie. Dolores przez kilka minut stała nieruchoma, jakby przykuta do miejsca, w którem skazała się na całe życie łez i osamotnienia. Gdy Filip zniknął jéj z oczu, w sercu zawrzało uczucie gniewu i żalu, lecz stan ten trwał tylko chwilę, i jak lekki obłoczek przesuwający się po jasnym niebios błękicie, nie zdoła zamroczyć jego pogody, tak to chwilowe wstrząśnienie nie mogło zachwiać odwagi jéj wielkiéj duszy. Wzniosła oczy ku niebu, jakby pragnąc zaczerpnąć z niego siły i wytrwałości, poczem zwolna zwróciła się ku zamkowi, złamana, z rozdartem sercem, ale spokojna i dumna swem bohaterskiem poświęceniem. W tem nagle na zakręcie alei, spotkała się z Coursegol'em. Zobaczywszy łzy spływające po twarzy, ośmielony ojcowskiem przywiązaniem jakie uczuwał dla młodéj dziewicy, zapytał z troskliwą czułością:

— Co tobie? panienko? Czegoż płaczesz dziecię moje kochane?

Dolores wdzięcznie spojrzała na niego. Są chwile w których serce domaga się zwierzenia. Coursegol pojawiał się w samą porę. Nawet wówczas jeszcze gdy mniemała, że jest córką margrabiego de Chamoudrin, Dolores uczuwała zawsze dla Coursegola jakiś rodzaj dziecęcego przywiązania; a od chwili gdy poznała urodzenie swoje, pokochała go więcéj jeszcze, uważając, że syn wieśniaka i córka cyganki, zupełnie są sobie równi. Teraz więc z zupełnem zaufaniem otworzyła mu serce, opowiedziała straszne walki jakie stoczyć z sobą musiała, i nie taiła, że odtąd całe jéj życie będzie jednym nieprzerwanym ciągiem łez, boleści i ofiary.

— Przewidywałem ja to wszystko, rzekł smutnie Coursegol. Biedne dzieci! zawcześnie wyjawiono wam prawdę; trzeba było zostawić was w niewiadomości przynajmniéj do czasu, w którymby jedno z was zawarło związki małżeńskie; wtedy już braterskie wasze przywiązanie nie zamieniłoby się w nieszczęśliwą miłość, która stanie się wam niewyczerpanem źródłem łez i boleści.

— O! masz słuszność Coursegol'u.

— Cóż teraz zamyślasz czynić?

— Udam się do klasztoru Karmelitek i pozostanę tam dopokąd Filip się nie ożeni.

— Ty do klasztoru! ty tak młoda, pełna sił i życia, ty miałabyś zagrzebać się w klasztorze.... O! to niepodobna!....

— A jednak tak być musi, odrzekła.

— Pojmuję, iż trzeba żebyś ztąd odjechała, ale po cóż wstępować do klasztoru?

— I gdzież się podzieję, sama jedna, bez rodziny ... wszak wiesz, że nie mam innych przyjaciół nad tych kilku, których opuścić muszę....

— A ja czyż twoim nie jestem przyjacielem? Czyż nie wiesz, że Coursegol gotów każdéj chwili

wszystko porzucić i poświęcić się dla ciebie. Od téj chwili wszystko co posiadam jest twoją własnością; nigdy cię nie opuszczę, będę twoim opiekunem, obrońcą, sługą......

To serdeczne przywiązanie Coursegol'a, do głębi duszy wzruszyło Dolores,—nie przyjęła jednak ofiary czynionéj jéj z tak szlachetną prostotą i zupełnem zaparciem siebie. Przedstawiła Coursegol'owi, że nie powinien oddalać się z zamku, do którego i ona powróci jak tylko Filip ożeni się z hrabianką de Mirandol, do owéj zaś chwili klasztor będzie dla niéj najstosowniejszem schronieniem.

— Niechże i tak będzie, odrzekł; lecz jeżlibyś kiedykolwiek zmieniła zdanie, nie zapominaj, że każdéj chwili gotów jestem oddać ci moje życie, mienie i poświęcenie bez granic.

Na początku roku 1789, Dolores udała się do klasztoru Karmelitek w d'Arles, lecz nie czując powołania do życia zakonnego, nie przywdziała sukni nowicjuszki, wiedząc iż sam jéj pobyt w klasztorze dostateczną stawi zaporę między nią i Filipem, nie krępując jéj nadal swobody postępowania.

Po wyjeździe Dolores, Filip w głębokiéj pogrążył się rozpaczy. Nie wiedząc, że tylko czasowo zamieszkała w klasztorze, pewny był, że jéj nigdy już nie zobaczy. Margrabia cierpiał niewymownie patrząc na boleść syna, sama jednak jéj gwałtowność pocieszała go nieco, budząc nadzieję, że przesileć się musi. Bywają smutki i boleści tak straszne, iż dotykając nas mogą zarazem pozbawić życia; jeżli jednak nie zabiją od razu, można mieć nadzieję ulagodzenia cierpienia. Taka była boleść Filipa. Już sama ta pewność, że Dolores nigdy nie pokocha innego, że dla tego tylko odmówiła mu swéj ręki, aby zostać oblubienicą Chrystusa, była balsamem pociechy, dzięki któremu spokój i rezygnacja zaczynały kiełkować w jego sercu.

Zaraz po wyjeździe Dolores, Filip chciał opuścić Chamoudrin i wracać do pułku swego stojącego garnizonem w Wersalu, ale nie umiał oprzeć się błaganiu ojca, który zaklinał aby go nie opuszczał, gdyż skołatany tylu cierpieniami, nie przeżyłby ostatniego najsroższego ciosu, oddalenia syna i wyrzeczenia się na zawsze spełnienia najdroższych nadziei swoich. Margrabia nie naglił, nie nakłaniał syna do ożenienia, ale przy każdéj sposobności wychwalał przymioty serca i duszy panny de Mirandol, mówił często o jéj wielkiem a cichem przywiązaniu do Filipa, o szczęściu jakieby zapewniła mężowi, i tak powoli, stopniowo, oswajał syna z myślą jéj poślubienia. Po upływie kilku miesięcy Filip mógł już słuchać przełożeń ojca bez gniewu i oburzenia, prosił tylko aby mu dozwolił opłakiwać utraconą dla niego Dolores, przynajmniéj tak długo, jak się nosi żałobę po umarłych, i aby zostawiono jego uznaniu oznaczenie czasu w którym ma poślubić pannę de Mirandol. Margrabia i Antonina chętnie zgadzali się na to, lecz zwiększające się z dniem każdym wzburzenie polityczne, oddziałało przeważnie na zmianę tych postanowień.

V.

Rok 1789 był przedświtem rewolucji francuzkiéj; kraj gnębiony przez pół wieku najróżnorodniejszemi cierpieniami zaczął budzić się z odrętwienia. Któż nie wie jakie uciski i nędze przechodziła wówczas Francja! Nadmiar ich skłonił wreszcie naród do szukania w sobie samym ratunku, w skutku czego domagano się coraz natarczywiéj zwołania Stanów Jeneralnych. Nie mogąc się oprzeć coraz gwałtowniejszym naleganiom, rząd powołał nareszcie naród, aby wybrał swych przedstawicieli. Było to w pierwszych miesiącach 1789. Wtenczas to miljony ludzi, silni swem zapoznanem dotąd prawom, gromadzili się tłumnie w celu wybierania z pośród współobywateli tych, których uważali za najgodniejszych, zaszczytnego stanowiska deputowanych.

Prowancja i Langwedocja zaraz od początku czynny wzięły udział w ogólnem wstrząśnieniu. W Nêmes, w Beaucavire, w Arles, w Rémoulins, w Tarascou liczne potworzyły się kluby, w których każdy głosił swe przekonania i żądze, i nagle cała fizjognomja ludu skazanego dotąd na bezwładność i jakby idiotyzm, zmieniła się do niepoznania. Słabość stała się siłą, bojaźliwość zuchwalstwem, pokora pychą a z łona uciemiężonego dotąd gminu zaczęły odzywać się głosy domagające się wolności. Wzburzenia nurtujące od pewnego czasu w niższych klassach społeczeństwa wydobywało się na jaw, dzięki sposobności nastręczonéj zwołaniem stanów jeneralnych.

W Nêmes i jego okolicach, wzburzenie było jeszcze gwałtowniejsze, z powodu niezapomnianych dotąd zaciętych walk religijnych, jakie przez lat pięćdziesiąt przeszło staczali z sobą katolicy i protestanci. Współzawodnictwo spowodowane wyborami odżywiło dawne niechęci. Historja nie rozstrzygnęła dotąd, czy była to rzeczywiście przesadzona żarliwość religijna, czy inne powody lub wyrachowania używające jéj za płaszczyk. To jednak pewna, że w téj okolicy Południa wzburzenie całkiem odrębną miało cechę. W Langwedocyi krew pierwej daleko popłynęła niż w Paryżu; rzeź w Nêmes uprzedziła o lat dwa blizko straszną rzeź wrześniową, a w Avignon, już w roku 1791 terroryzm najwyższego dosięgał stopnia.

Straszne symptomata objawiały się już w r. 1789 na zebraniach poprzedzających wybory do Stanów jeneralnych. Katolicy i protestanci odzywali się nadzwyczaj gwałtownie, podkopywali wzajemnie swe wpływy i starali się organizować jak najliczniejsze stronnictwa. Margrabia de Chamoudrin był gorliwym katolikiem, ale zarazem pełnym pobłażliwości dla różnowierców; nie odrodził się od jednego z naddziadów swoich, który kiedyś na dworze Wersalskim potępiał głośno odwołanie edyktu Nantejskiego, chociaż mowa podobna groziła mu niełaską i wygnaniem. Czytał i rozważał dzieła wszystkich filozofów ówczesnych, i wyrobił w sobie przekonanie, że równość jest możliwą do pewnego stopnia, to jest aby każdy człowiek mógł swobodnie kształcić się i dorabiać majątku. Nie był więc z zasady przeciwnym Rewolucyi, ale jeżli nienawidził despotyzmu to zarówno brzydził się gwałtami. W zgromadzeniach przemawiał zawsze w sposób pojednawczy, uspokajał umysły, godził zwaśnionych i zbawienny wpływ jego nie raz przeszkodził rozlewowi krwi bratniéj; ale namiętności tak były wówczas rozbukane, że wkrótce ta rola pośrednictwa jakiéj się podjął z garstką wiernych przyjaciół, stała się bardzo niemiłą i niebezpieczną. Oba stronnictwa równą okazywały mu niechęć i odsunęły się od niego; wkrótce stracił cały swój wpływ i popularność; czem zniechęcony usunął się od wszystkiego i zamknąwszy się w pałacu de Chamoudrin, zdala od pola walki filozoficznie obserwował walczących.

Wkrótce Stany jeneralne zebrały się w Wersalu, ale gdy Francja zgnębiona, wyczerpana i rozdrażniona, z gorączkowym niepokojem oczekiwała zbawienia, jakie obiecywała sobie po reformach i postanowieniach które ogłosić miały, członkowie ich tracili czas na jałowych sprzeczkach i zwadach. Wypadki następowały jedne po drugich z gwałtownym pośpiechem. Głód zagrażający Paryżowi mógł rozszerzyć się po całéj Francji. Korzystając z ogólnego nieładu i rozprzężenia, zbrojne bandy rabusiów zaczęły napadać na wioski; w niektórych okolicach chłopi stawiali im opór, w innych łączyli się z nimi. Napadano na zamki i pałace, jedne rabowano, inne puszczano z dymem. Nareszcie rozeszły się wieści o najściu cudzoziemców, a lud oskarżał szlachtę, że klęskę tę na kraj sprowadziła.

Oto słaby szkic nieszczęść szarpiących wówczas łono nieszczęśliwéj Francji, które zarazem wielki wpływ wywarły na losy Filipa de Chamoudrin i Antoniny de Mirandol. Jakkolwiek stary margrabia pragnął gorąco jak najprędzéj połączyć ich wiecznemi śluby, znając jednak całą ważność położenia, nie śmiał nalegać na syna o zawarcie małżeństwa, a Filip ani wspomniał o niem. Odosobnieni w swoim pałacu, smutne teraz wiedli życie. Coraz smutniejsze dochodziły ich wieści, przemawiano już o niebezpieczeństwie grożącem królowi. Filip chciał wracać do Wersalu, ale Coursegol potrafił go przekonać, że honor i obowiązek syna nie dozwalają mu opuszczać bezbronnéj kobiety i starego ojca, a nareszcie że królowi tu stokroć pożyteczniejszym być może. Stary sługa i przyjaciel bardzo był teraz czynny, ważne usługi oddawał margrabiemu.

Dzięki swemu stanowisku i gminnemu urodzeniu mógł bezpieczniejby bywać w Nêmes i w Beaucaire i śmiało mięszać się z tłumem; wchodził do chat wieśniaczych, do warsztatów rzemieślniczych, i gawędząc dobrodusznie, badał ich zamiary i przedsięwzięcia. Przewidując możliwość napadu na zamek de Chamoudrin, zapewnił margrabiemu przyjaciół i obrońców, a zarazem zawiadamiał go o wszystkiem co zaszło i zajść miało. Nakoniec dość często bywał w Arles, aby pocieszać biedną Dolores i przekonać się czy nie potrzebuje pomocy i opieki.

Po wspólnéj naradzie margrabia, Filip i Coursegol zajęli się przygotowaniami do obrony pałacu. Coursegol zapewnił sobie pomoc wielu wieśniaków i sprowadził do pałacu kilku ludzi dobréj woli. Margrabia bywał często w miasteczku Remoulins, leżącem o ćwierć mili od pałacu, po drugiéj stronie Gardonu, gdzie miał licznych stronników, i wszyscy zapewnili mu pomoc swoją w razie potrzeby. Od pół wieku już, ogromne dobra należące kiedyś do naddziadów margrabiego były w obcem ręku, miano więc czas zapomnieć o nadużyciach jakich się dopuszczali z mocy swych praw feodalnych, a tak margrabina de Chamoudrin, jak następnie Dolores i Antonina, znane były ze swéj dobroczynności i miłosierdzia. Tak więc nie lękano się niczego od okolicznych mieszkańców, ale zbrojne bandy przebiegające kraj wielkie budziły obawy. Były to gromady włóczęgów bez czci i wiary, żyjące mordem i grabieżą, napadające spokojnych mieszkańców bez żadnego powodu. W téj porze roku nadciągały także przez most Gardu liczne bandy cyganów, które korzystając z ogólnego popłochu i zamieszania, mogłyby łatwo napaść na odosobniony pałac de Chamoudrin. Nie dość na tem, na północ Nêmes, zamieszkiwała ludność gwałtowna i fanatyczna, bardzo wówczas podburzona przeciwko katolikom, których, w stronniczych widokach, przedstawiano im jako przeciwników Rewolucji. Zfanatyzowany gmin odgrażał się głośno, i z tego powodu rozeszła się wieść, iż zamierzają napaść na Nêmes, zburzyć je ogniem i mieczem. Słusznie więc można się było obawiać, że rozhukana tłuszcza, pijana mordem i pożogą, może rozbiedz się po okolicy, szerzyć śmierć i zniszczenie. W owych czasach kiedy cała Francja drżała przerażeniem wszelkiéj prawie pozbawiona nadziei, żadna obawa nie była śmieszną, żadna przezorność zbyteczną.

Oto powody usprawiedliwiające margrabiego, iż jak mógł gotował się do obrony, choć nic niby nie zapowiadało jeszcze napaści. Antonina spoglądała spokojnie na wszystkie te przygotowania, i zamiast lękać się, błogosławiła nieznane niebezpieczeństwa,

dzięki którym Filip pozostał w Chamoudrin. Kochała go całą duszą, lecz choć niekiedy przerażała ją myśl, iż lada dzień może ukochany jéj padnie pod ciosem morderców, pocieszała się tem, że umrze z nim razem.

Stary margrabia, wierny przyrzeczeniu jakie uczynił umierającemu hrabiemu de Mirandol, iż czuwać będzie nad Antoniną i jéj majątkiem, chciał wyprawić ją do Anglji, gdzie już przesłał kapitały jakie oddziedziczyła po ojcu.

— Nie jesteś jeszcze żoną Filipa, rzekł, nie potrzebujesz więc narażać się na grożące nam niebezpieczeństwa. Ale dziewczyna przerwała mu, błagalnie składając dłonie:

Margrabia uściskał ją serdecznie i pozostała w pałacu.

Podczas gdy tak liczne obawy i wzruszenia miotały sercami mieszkańców zamku, Dolores zamknięta w cichym klasztorze karmelitek w Arles czekała cierpliwie końca dobrowolnego wygnania na jakie się skazała. Minęło już kilka miesięcy a cisza i spokój świętego zacisza, złagodziły znacznie jéj boleść. Cierpiała jeszcze, płakała swej wielkiéj miłości, której zaprzeć się musiała, miłości ukochanego któréj wyrzekła się dobrowolnie, po boleść taka na wieki pozostaje w duszy,—ale gorąca wiara, zadowolnienie sumienia, że spełniła tak ciężki i trudny obowiązek, natchnęły ją rezygnacją, tą nadziemską, boską cnotą, którą Bóg zlewa w duszę nieszczęśliwych co świętéj Jego wzywają pomocy.

Powiedzieliśmy wyżej. że Dolores nie wstąpiła do klasztoru, ale tylko zamieszkała w nim czasowo. Od czasu założenia swego w połowie XVIIgo wieku, zgodnie z życzeniem fundatorski swojéj, karmelitki w Arles, przyjmowały na mieszkanie damy szlachetnego rodu, które dla jakich bądź powodów pragnęły usunąć się od świata i żyć w klasztorze nie wykonywając ślubów i reguły zakonnéj. Ileż to wdów niepocieszonych, matek opłakujących śmierć dzieci, lub sierot opuszczonych od świata, znajdowało tu ciszę, spokój i schronienie.

W chwili gdy Dolores przybyła do klasztoru, siedm tak zwanych pensjonarek, po większéj części w podeszłym już wieku znajdowało się w jego murach; wszystkie mieszkały w obrębie klasztoru, ale w oddzielnym gmachu. Serdecznie powitały młodą, piękną dziewicę, która wkrótce wszystkie pozyskała serca. Życie płynęło im cicho i spokojnie.

Wstawały o szóstej rano, odmawiały razem z zakonnicami modlitwy poranne, ale krata żelazna oddzielała ich od karmelitek. Wieczorem znowu dzwonek klasztorny zwoływał je na wspólną modlitwę, a dzień cały mogły przepędzać według upodobania. Śniadanie, obiad i wieczerze spożywały razem. Dolores całe dnie poświęcała pracy na korzyść zgromadzenia i biednych, już to szyła odzież dla sierot i ubogich, już to haftowała różne kościelne aparaty. Codziennie w pewnych godzinach odwiedzała chorych, niosąc im pociechę i pomoc,—a tak całe życie upływało jéj na modlitwie i dobrych uczynkach.

Z Chamoudrin miewała częste wiadomości; margrabia donosił jéj o wszystkim w długich listach swoich, a Coursegol odwiedzał ją co dwa lub trzy tygodnie. Z jakiemże zajęciem wypytywała go o wszystko co tylko odnosiło się do ukochanych jéj istot, których opuszczenie było z jéj strony dowodem największéj miłości i bezgranicznego poświęcenia. Nic w Chamoudrin nie było jéj obojętnem i gorąco pragnęła powrócić jak najprędzéj do tego ulubionego ustronia, gdzie każdy kącik, tak miłe w duszy jéj budził wspomnienia, gdzie upłynęły jéj błogie lata dziecinne, gdzie kochała i była kochana. Zawsze pytała Coursegola czy już oznaczono dzień ślubu Filipa i Antoniny, bo wtedy mogłaby powrócić jak tylko młodzi małżonkowie odjechaliby do Wersalu.

W pierwszéj połowie czerwca, Coursegol swoim zwyczajem udał się do Arles, aby odwiedzić Dolores; przybył tam czternastego, cały prawie dzień następny przepędził w jéj towarzystwie, a szesnastego rano wybrał się z powrotem.

Od Chamoudrin do Arles było tylko kilka godzin drogi, postanowił odbyć ją pieszo. Białe przezroczyste chmury zaległy obłoki, przyćmiewając nieco rażący blask słońca. Przez całą drogę między Arles i Nêmes cudne krajobrazy roztaczają się przed oczyma wędrowca. Coursegol szedł wesoło, oddychając pełną piersią świeżem powietrzem porankowem, nasyconem orzeźwiającą wonią cyprysów i drzew oliwnych; doszedłszy do ładnego miasteczka Beaucaire, leżącego nad brzegami Rodanu, spostrzegł między mieszkańcami jakieś niezwykłe zamięszanie. Wieśniacy chodzili gromadami, rozmawiając z pewnem ożywieniem; twarze ich bolesne jakieś zdradzały uczucie. Z początku myślał, że idą, lub wracają z jakiegoś pogrzebu, lecz wkrótce przekonał się, że wielu było uzbrojonych, już to nędznemi dubeltówkami, już to kosami. Wszedłszy do miasteczka widział znów liczne zbiegowiska na placach i na ulicach; gwardziści narodowi przesuwali się wśród tłumów. Tu i owdzie oficerowie wydawali rozkazy; zdawało się jakby miasto chwytało za broń, gotując się do obrony.

— Co się to stało? zapytał przysuwając się do najbliższego zbiegowiska.

— Jakto? nie wiesz tego jeszcze? odparł ktoś z tłumu.

— Nic nie wiem, wracam z Arles.

— Mord i pożoga panuje w Nêmes; chłopi Cewneńscy napadli na miasto, i wymordowali przeszło trzysta osób, robotników, mieszczan, księży i zakonników. Całe miasto jest w ich mocy; obawiamy się aby i na nas nie napadli i gotujemy się do obrony.

— Lecz czyż już zwrócili się w te strony? zapytał przerażony niewymownie.

— Onegdaj jeszcze dość liczny zastęp tych morderców podstąpił aż ku mostowi Gardu, zrabowali a następnie spalili pałac de Chamoudrin.

Z piersi Coursegol'a wydarł się straszny krzyk przerażenia; przycisnął ręką serce, aby stłumić gwałtowne jego bicie; twarz trupią pokryła się bladością.

— Co ci to, bracie? zapytał zwiastujący mu tak straszną wiadomość.

— O! moi panowie! moi dobrzy, ukochani panowie! zawołał z rozpaczą,—cóż się z nimi stało?...

I nie czekając odpowiedzi, któréj zresztą nikt nie byłby w stanie mu udzielić, pobiegł jak strzała w kierunku mostu Gardu.

Dotąd jeszcze nie są dokładnie znane pobudki, które wywołały straszne wypadki jakie miały miejsce w Nêmes, w początku 1790 roku, wszystko jednak wnosić każe, że miasto to było jednem z pierwszych szańców kontr-rewolucji. Kiedy katolicka ludność południa dowiedziała się, że Konstytuanta pragnie reformować kościół katolicki bez woli i zezwolenia Papieża, zadrżała boleścią i zgrozą. Patrzyła ona z rezygnacją na upadek tronu, ale nie mogła dozwolić obalać ołtarzy. Skarżono się głośno i energicznie, a gdy słowa nie pomagały, zwrócono się do czynów. Katolicy chwycili za broń, aby, jak mówili, bronić swéj zagrożonéj religji;—protestanci znowu odbierali od swych współwyznawców instrukcje z Paryża i Montauban, i czekali tylko hasła aby wystąpić do boju. Oficerowie pułku stojącego garnizonem w mieście prawie wszyscy byli szlachta i sympatyzowali z katolikami, którzy w ich przekonaniu przedstawiali arystokrację, żołnierze znowu sprzyjali protestantom, których uważali za dobrych patrjotów. To rozdwojenie podsycało wojnę domową nowym żywiołem niezgody.

Taki zbrojny i groźny pokój utrzymał się przez kilka miesięcy, aż nareszcie jakaś sprzeczka między gwardzistami narodowymi a kompanją dragonów, przyśpieszyła nieuchronne starcie. Protestanci wzięli stronę dragonów, katolicy gwardzistów narodowych z których wielu śmierć poniosło. Działo się to 13 Czerwca. Protestanci przyzwali na pomoc chłopów z północnych okolic Nêmes, którzy niebawem weszli do miasta. Z początku okazywali niby usposobienia pojednawcze, lecz że bandy te składały się z dzikich fanatycznych gburów dowodzonych przez wytrawnych złoczyńców, powodowanych jedynie nadzieją grabieży i rabunku, niezadługo też ci potrafili nakłonić ich do swych widoków. Dzika tłuszcza rozbiegła się po mieście, szerząc śmierć i zniszczenie. Najpierwszą ofiarą był klasztor XX. Kapucynów, pomordowano zakonników u stóp ołtarzy. Rozwścieczeni mordercy udali się następnie do klasztoru Karmelitów, lecz tu zakonnicy mieli czas ratować się ucieczką, zrabowali więc tylko i zniszczyli kościół. Potem już z kolei napadano na mieszkania, mord i pożoga trwały przez dni trzy, wciągu których zamordowano przeszło trzysta osób.

Jak tylko wiadomość o tych mordach rozeszła się po wioskach leżących nad brzegami Rodanu i Gordonu, z wszystkich piersi jeden wydarł się okrzyk:

— Mordują braci naszych! biegnijmy ich ratować.

Ludzie wpływowi porozumieli się z sobą na prędce i powołali do broni oburzoną przerażoną ludność, postanowiono ruszyć do Nêmes, aby wygnać nędzników przelewających krew niewinną. Głównym motorem tego ruchu i wyprawy był margrabia de Chamoudrin, który też jednozgodnie obrany został wodzem téj improwizowanéj armji.

Dowiedziawszy się, że liczne zastępy chłopów katolickich ciągną na pomoc nieszczęśliwemu miastu, większa część morderców uciekła, lecz ci z nich którzy mieszkali w Nêmes i bali się krwawego odwetu dla siebie i rodzin swoich, postanowili wszelkich użyć środków, byle odwrócić cios tak straszny.

Wiedząc, że we wszystkich stronnictwach znajdą się przedajni nędznicy, chętnie dla złota dopuszczający się zdrady, przekupili kilku podobnych nikczemników, którzy z ich poduszczenia wyszli naprzeciw nadciągających katolików, zapewnili ich, że spokój i porządek w zupełności został przywrócony, i prosili w imieniu mieszkańców Nêmes, żeby nie wchodzili do miasta, aby nowych nie wywołać rzezi. Przywódcy uwierzyli ludziom należącym do swego stronnictwa, i szczęśliwi, że nie potrzebują przelewać krwi bratniéj, nakazali odwrót.

W téj świetnéj manifestacji margrabia de Chamoudrin odznaczył się nadzwyczajną gorliwością oraz pełnem zapału przemówieniem, w którem napiętnował hańbą nikczemnych sprawców morderstw dokonanych w Nêmes. Najnędzniejsi z tych zbrodniarzy zmówili się, aby przez zemstę zrabować i spalić jego pałac, i w tym celu ułożyli napad na noc, następną.

(d. c. n.)



J. A. Weger sc.

TYGODNIK MÓD

W WARSZAWIE.